

W ELEGANCKIM
ŚWIECIE

21
W/A

BIBLIOTEKA ECHA POLSKIEGO

DWUTYGODNIK

ROK III

LUTY 1933

Nr XLVIII

REDAKTOR I WYDAWCA:
JAN STYPULKOWSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 15. Tel. 9.95-31

JÓZEF MACIEJOWSKI

W ELEGANCKIM ŚWIECIE

ROMANS

WARSZAWA _____ 1933
BIBLIOTEKA ECHA POLSKIEGO



44033

K-117/77/83384

I.

— Dla mnie są kobiety albo moralne, albo nie moralne, ale wielką jest sztuką dzisiaj odróżnić je od siebie — mówił w zamyśleniu hr. Tolo.

— A ja znam jeszcze, mój kochany, trzeci rodzaj kobiet — Kobiety wątpliwej moralności — powiedział Malanowski.

— Wątpliwej moralności? A to ciekawe! Czekaj że, wiesz co, masz słuszość! Tak, masz słuszość. Bo na przykład, uważasz, taka pani Mniusia, no wiesz, Da-lecka — hę? Ha! ha! ha! Szerokoby o niej mógł Da-wid pisać. Albo na przykład taka Zosia Orska — także szeroko mógłby o niej Dawid pisać...

— A jeszcze szerzej o innych, chociaż niby tak hra-bio kochany, dowodów na ploteczki niema.

— Ale są spojrzenia, są słówka, są uśmiechy. Ta Mniusia, to bardzo, bardzo miła, bardzo apetyczna.

— Owszem. Gotów jesteś, hrabio, głupstwo zrobić i ożenić się z nią.

— Ożenić się? Chyba nie, ale tak popróbować szczęścia....

— Wzdycham o to samo do pięknej Bolskiej —

napróżno jednak. Opancerzyła swoją cnotę w sposób istic barbarzyński.

Już od dłuższego czasu siedzieli we dwóch wygodnie rozparci w klubowych fotelach jednej ze sal słynnego na całą Warszawę arystokratycznego klubu i jako znani lowelasi, starzy donjuani, opowiadali sobie o kobietach.

Hrabia Tolo Dubissa-Dubiski wysoki, o podłużnej, pomarszczonej twarzy, zniszczonej rozpustą, o spojrzeniu ironicznem oczu szarych, w monoklu — chudy jak tyka i powszechnie znany w świecie i półświecie, jako „Jureczek”, Jerzy Malanowski, wzrostu średniego, oczu niebieskich, szczupły, wygolony, o twarzy znużonej bezsennymi nocami i także wiecznie w monoklu.

Obaj przyjaciele w jednym wieku koło czterdziestki, wiecznie razem, przezywani Castorem i Poluksem w świecie i półświatku, prowadzili bardzo pracowite życie, nie robiąc i obaj reprezentowali w majątkach ziemskich, fabrykach, kamienicach około paru miliardów złotych.

A przytem byli sąsiadami, kolegami z gimnazjum, potem ze studjum rolniczego w Krakowie.

Już tam się zaprawiali do szerokiego życia ludzi bogatych i tam też mieli pierwsze swoje comme il faut utrzymanki, dziewczeczki o zawrotnej przeszłości.

Łączyło ich koleżeństwo, wiek, upodobania, środowisko, w którym się obracali, majątek, kobiety i szczęście w kartach. Właśnie wstali od stolika, wygrywając w ciągu dwu godzin dość pokązną sumę od swych przyjaciół.

Była to dla nich rzecz zwyczajna. Mogli taką samą sumę przegrać bez najmniejszego wzruszenia, mogli również w przystępie dobrego humoru po kilku butelkach białego, rozdać gwiazdom półświatka, które znali dość licznie.

Jureczek bez Tola, a Tolo bez Jureczka — ani rusz.

Wygrawszy, znudzeni kartami, siedzieli sobie w bocznym salonie i — o czymże, jak nie o najulubieńszym dla siebie temacie — o kobietach.

Hrabia Tolo zaśmiewał się.

— Kobiety wątpliwej moralności — właściwie istota moralności przeczy najmniejszym uchybieniom życiowym przeciw niej. Kobieta moralna nie powinna być zalotną, nie powinna malować się, na przykład nie powinna wabić mężczyzn linją swej kibici, nie powinna być kokietką, a jednak mieć dużo wdzięku.

— Na to pozwalasz?

— Pozwalam. W naszych stosunkach dużo jest kobiet niemoralnych, bo obyczajność jest zła.

— Jakto zła?

— Zawiele wymaga. Ale skądże ci takie określenie „kobiety wątpliwej moralności” przyszło do głowy?

— Skąd? Wiesz przecież, że dla nas obu — moralność jest zawsze wynalazkiem wątpliwych wartości, a jeśli moralność, no to pod tym względem i kobiety.

— Doskonałe określenie. Ten fałsz, ta obłuda, te kłamstwa nieustanne, to całe komedianstwo natury kobiecych, te nieustanne oszustwa, cała perfidja w postępowaniu, łakomstwo pieniędzy, sprzedawanie się dla

użycia życia — doskonałe określenie — mówił hrabia Tolo, od czasu do czasu osadzając monokl w oku. Zapalając cygaro, mruknął:

— Mniemni — wiesz, lubię ją, nawet bardzo lubię.

— Ej, zaangażujesz się tam Toleczku i wpadniesz. Kobiетка ognista.

Hrabia Tolo śmiał się.

— Czy to czasem nie jest dzisiaj dzień jej przyjęć?

— Czekaj, zobaczymy — odparł Malanowski, wyjął notes i przebiegł dnie przyjęć znajomych, których miał mnóstwo i u których dlatego rzadko bywał, nie mogąc podołać wizytom.

— W każdym razie Dalecka reprezentuje poważny kapitał — tak słyszałem, która z nich bogatsza — ona czy Bolska. Trudno orzec, myślę jednak, że Dalecka. Nam pieniędzy, mój Jureczku, nie potrzeba. Ale mieć ładne kobiety, jako żony — czemużby nie?

— Nudzi ci się, widzę, starokawalerstwo. Jak jednak masz cudowną pamięć. Tak, masz rację, to dziś dzień jej przyjęć.

— A widzisz — tak coś mi się zdawało.

— A ponieważ nie ma późnej godziny, dopiero siódma — spojrział na zegarek — możebyśmy tak pojechali? Bo co robić z resztą wieczoru? Teatr, koncert — nudy, klub — także nudy. Dancing — mamy czas do godziny dwunastej w nocy. A u niej jest miło. Na pewno będą Steinowie. Jakże myślisz?

— Możemy jechać. Trochę się pogawędzi. Dość da-

wno nie byliśmy — ziewał Jureczek, nieco sfatygowany obiadem, szampanem i grą w karty.

— Ale przed tem proponowałbym lekką przejażdżkę za miasto. Coś za wiele szampana było.

— Niezła myśl — zgodził się hrabia Tolo.

Przywołał lokaja i kazał mu telefonować po swoją limuzynę.

— Wracając do kobiet wątpliwej moralności — mówił — nie chodzi tylko o te, które mają kochanków. Wątpliwa moralność to jest według mnie taka, która pokrywa różne świństewka z punktu ogólnie przyjętych zasad moralności. Naprzykład zdradzanie mężów, zaniedbywanie dzieci z powodu własnych egoistycznych pobudek. Jest takich tysiące większych czy mniejszych uchyleń. Prawdę powiedziawszy wątpliwa moralność może być doskonale stosowana i do mężczyzn. Czyż między nami nie ma jednostek o wątpliwej moralności, to jest kłócących się nieustannie z owymi raz przyjętymi zasadami? Zachowanie się na dancingach, w restauracjach, prywatne nasze życie, ubiór, strój — spędzanie wogóle życia.

— Tak, tak, to prawda — zgodził się Malanowski. — Zabawne jednak jest, że słyszę to od ciebie.

Hrabia Tolo roześmiał się z lekkim cynizmem.

— No tak, widzisz, można postępować wątpliwie w stosunku do zasad moralnych, ale jednocześnie zdawać sobie sprawę, co jest moralnem lub niemoralnem. Kobieta dzisiejsza sądzi, że jest moralnem np. noszenie przez nią sukienek ponad kolana. Nie wiedzą, albo

nie chcą wiedzieć, że sprawiają tem nieraz obrzydzenie, mając nogi nieforemne. Kolano, mój kochany...

I hrabia Tolo jął się szeroko rozwodzić o kształcie kolana kobiecego w stosunku do łydki i uda.

— Wyobrażasz sobie krągłe, soczyste kolano?

— Wyobrażam.

— Nie płaskie jakieś...

— No tak.

— Właśnie.

— Ale subtelne w linii, idącej od łydki.

— Właśnie.

I obaj zajęci pięknem i brzydotą kolana kobiecego, powiadomieni przez służbę o przybyciu limuzyny, ubrali się i zeszli wolno po szerokich schodach marmurowych „Grajklubu” do vestibulu, a stanowiąc, niskimi ukłonami odprowadzani przez szwajcara, wyszli, aby zająć miejsca w oczekującym już na nich aucie hrabiego Tola. Limuzyna ruszyła według rozkazu Jureczka za miasto, a hrabiego głos dobiegał jeszcze zgiętego w pół szwajcara:

— Kolano pięknej kobiety...

Ale już szwajcar więcej nie słyszał.

Limuzyna zniknęła w mrokach ciepłego, jesienno-wieczornego.

II.

Mniumniu po obiedzie leżała w swoim „bleu” buduarze na jedwabnym „bleu” szelonzku. Była w „bleu” szlafrocisku, takichże pantofelkach, w „bleu” koszulce i czytała jakiś sprośny francuski romans, zaśmiewając się chwilami nawet głośno.

Mniumniu wiedziała, że dziś wieczorem będzie u niej parę osób, ale nie przejmowała się tem zupełnie.

Co to mogło ją obchodzić, jeśli chodziło o przyjęcie. Czy niema panny Felicji?

Ta panna Felicja pod czterdziestką, a w pretensjach conajmniej dwudziestopięcioletniej dziewczyny, wołającej całą sobą: „chcę męża, chcę męża” i wzdychającej po nocach do pocałunków — dźwigała na swoich chudyh ramionach ciężar całego gospodarstwa, bo Mniumniu za najwyższy szczyt moralności uważała — nic, ale to literalnie nic nie robić. „Kto nie robi, ten nie grzeszy” — mawiała Mniumniu — niemniej prowadziła żywot niesłychanie pracowity od świtu — to jest od godziny dwunastej w południe (nazywała to zawsze „witem”) do nocy (godzina czwarta rano albo trzecia),

Na czem ta pracowitość polegała?

Gdyby jej się tak zapytał ktoś z przyjaciół, odparłaby z oburzeniem:

— Ach Boże! I pan się pyta, co my kobiety z towarzystwa robimy? Cóż za naiwność! Czy pan naprzykład myśli, że czytać „Decobrę”, to nie praca? Albo „Vautel”? A czy pan myśli, że ubierać się, albo rozbierać, to nie jest praca? A czy pan wie, ile razy muszę się rozebrać i ubrać? Nie, tego pan nie może wiedzieć — to są tajemnice, kochany panie, każdej kobiety — wogóle kobiety...

I Mniumnium zasypałaby takiego, ktoby ją pytał, szeregiem ciężkich, mozolnych prac: teatry, koncerty, wizyty... Ot naprzykład po obiedzie — po obiedzie z „Decobrą” t. j. nie z nim, lecz z jego romansem!

Czyta i myśli jednak w tejże chwili o przyjęciu wieczorowem.

I naraz rączka sięga po dzwonek, naciska, oczęta kierują się w stronę drzwi, przysłoniętych kotarą „bleu”. Jedna nóżka leży spokojnie na szeszlonych a druga tak sobie — podniesiona jest od zgięcia w kolanie do góry. Opada i wznosi się, wznosi i opada — tak sobie, z fantazji. W drzwiach staje oczekiwana panna Felicja.

Wysoka, chuda, nosząca dlatego, jak twierdziła młodsza, czternaście staniczków, dwa biustonosze i pięć halek, aby, aby trochę robić wrażenie nie tak szczupłej — oh! Boże — wzdychała zawsze Felicja, kładąc ten czteronasty staniczek i piątą halczkę — nie tak szczupłej....

Oczy miała okrągłe, wylupiaście, jak orzeszki włoskie, te mniejsze, nasek długi, spiczasty. Twarz po-

dłużna, zawsze zdradzała jakiś niepokój, bądź o bieliznę stołową czy inną, bądź o obiad, czy inną rzecz ważną.

— Panno Felicjo kochana — cóż tam z wieczorem?

— Wszystko, jak w każdy wtorek — w porządku.

— To pięknie. Niechże pani pamięta o szczegółach, bo ja jestem strasznie zajęta lekturą, jak pani widzi.

— Ależ naturalnie.

I panna Felicja znika za kotarą „bleu” a Mniumnium fajta sobie nóżką i czyta ukochanego Decobrę.

Czyta i je czekoladki nadziewane. Mniumnium to taka anielica, która pasjami lubi nadziewane czekoladki. Nie jest to oczywiście nic oryginalnego. Któraż z ziemskich anielic nie lubi czekoladek, albo cukierków, ale Mniumnium przeszła inne anielice, czekoladki je w południe, popołudniu, nad wieczorem i kiedy już ułoży się spać — tak do poduszki. „Wedel”, „Decobra”, „Vautel” albo „Franboli” — ale mniejsza! Hrabia Tolo i Jureczek możeby się nie interesowali Mniunią Dalecką, ale nie mogli się nie interesować. Przedewszystkiem Mniumnium miała dwadzieścia pięć lat, za tem była w tym wieku, kiedy powaby kobiece zaczynają nabierać smaku prawie już dojrzałej brzoskwini. Hrabia Tolo i Jureczek gustowali nietylko w blondynkach i szatynkach, lecz również i w brunetkach, choć dowodzili, że blondynki są namiętniejsze. Mniumnium właśnie była brunetką i to mocną brunetką, kształtna bardzo, z „linją”, ciemną, ognistą, bardzo bogata obywatelka ziemska, Mniumnium dawno już zawróciła lekko głowę i hrabiemu Tolowi i

Malanowskiemu i nie tylko im, ale bardzo wielu innym panom z jej, a raczej z ich sfery.

A przytem — była to kobieta nowoczesna. — Najlepszym tego dowodem mógł posłużyć dość znamienity fakt, że Mniusia nie wychodziła za mąż. Po co jej mąż? Poca dzieci? Czyż to nie przykre? Jeszcze — dzieci — no, ale mąż?

W tych poglądach Mniurniu, po nowoczesnemu zresztą załatwiająca swoje sprawy w stosunku do płci brzydkiej, w zupełności zgadzała się ze swojemi serdecznemi przyjaciółkami, baronową Bisią albo Balbiną Steinową mniej więcej podobną do niej i w tymże wieku, tylko o typie nieco semickim i Neteczką w spieszczeniu — inaczej Augustynką Bolską, świetnie zbudowaną blondyną o niebieskich, rozmarzonych oczach, zmysłowych małych usteczkach, delikatnej cerze, stale „dorabianej”, z wdówką po świetnym lekarzu, który żonie najwierniej — jak opiewał testament pozostawił trochę grosza — tak z pięć milionów złotych w kamienicach i gotówce.

I lata — (Neteczka miała dwadzieścia osiem) i uroda i majątek i gusta i zamiłowanie zbliżyły te kobiety ze sobą, jak zbliżyły hrabiego Tola z Malanowskim.

Właśnie Mniurniu przerwała lekturę i myśląc o wieczorowym swoim przyjęciu, jednocześnie myślała i o Bisi i o Neteczce, że z pewnością przyjdą wieczorem.

— Gdyby tak jeszcze Jureczek i hrabia Tolo — ach!... Ona nie wiedziała, że obaj się właśnie wybierali. I nie wiedziała także, że wybierał się i sławny muzyk Adam Zabięto — młody, dwudziestoparoletni „Adaś” — gdybyż i on! „Adaś” blondynek... z tą swoją czuprynką.

Mniurniu poznała Adasia u baronowej Steinowej, którego była gospodynią, tak bowiem wypadło baronowej, konsulowej i bankierowej w jednej osobie, ponieważ wszystkie te przywileje tytularne społeczne dźwigał jej mąż: baron, konsul, bankier Artur Stein. Mniusia zawsze w myślach nazywała Zabięto „Adasiem”. Często stawał jej w wyobraźni, ponieważ cieszył się jej cichą sympatją, gdyż był przystojny, żywy, nerwowy, elegancki no i... no i działał na nią tak — jakoś — podciągając nie tylko talentem.

— Gdyby oni tak wszyscy przyszli! Gdyby tak jeszcze sam Stein przyszedł! Ale nigdy prawie ten przysadkowaty pocziwiec nie miał czasu z powodu bankierskich swoich interesów.

— A gdyby tak jeszcze przyszła Zonia — w spieszczeniu, a właściwie Zofja Orska! Ha! Byłoby wesoło!

Fajta sobie nóżką Mniusia, je czekoladki, na chwilę przerwała lekturę i — o tej Orskiej teraz medytuje.

Widzi ją — pełną, średniego wzrostu, rudą, o przedziwnie smętnych czarnych oczach, cerze matowej — Zonię, zawsze uśmiechniętą, zawsze wesołą.

W tej chwili Mniurniu dałaby dużo, aby zaspokoić swoją ciekawość i wiedzieć z kim ten rozwiedziony motylek romansuje. Bo jakże! Zonia bez romanu? bez nowego adoratora — nie, to niemożliwe! Ale Orska jest skryta. Nigdy się nie zwierza ze swoich miłości. Ach te miłości, ta Orska! Co to znaczy mieć w sobie dużo życia! O — Mniurniu wie coś o tem — no bo przecież i ona...

— W co by tu się ubrać na ten wieczór?

Tak — w coby tu się ubrać?

Sukienka rouge, koszulka rouge, pończoszki rouge, pantofelki rouge — ach wszystko rouge — śpiewa sobie Mniurniu i raptem usteczka składają się do figlarnego uśmiechu, bardzo zalotnego — a potem wstaje nagle z szeszlanka i do telefonu:

— Aaa — to ja! Co? Gdzie całujesz? Fe. Adolfku, drogi, śliczny chłopcze, jak będziesz dzisiaj wieczorem, to koteczku wyjdź nieco wcześniej? Ci co będą, pójdą za twoim przykładem, a wtedy, jak wrócisz, będziemy mieli oboje dla siebie więcej czasu. Oni są wszyscy bardzo mili, ale ty jesteś miłszy — dobrze koteczku?

Koteczek się zgodził, otrzymał dźwięk mocnego całusa, coś powiedział dowcipnego, bo Mniusia, zaśmiewając się, położyła tubkę na widelki i śpiewając: Sukienka rouge, koszulka rouge, pończoszki rouge — wróciła do lektury. Nie mogła jednak już czytać spokojnie.

Weszła panna Felicja. Wprawna w przyjęciu — miewała czasami wątpliwości, wtedy radziła się Daleckiej.

— Proszę pani?

— A co?

— Czy ananasy podać w winie?

— Naturalnie. A któraż godziną?

— Będzie koło szóstej.

— Oh! To trzeba się ubierać.

— Zwykle się goście schodzą koło siódmej.

— Niech tu przyjdzie Anetka.

— Dobrze, zaraz ją przysłę.

Mniurniu leży jeszcze na szeszlanku i czeka na

młodszą. Po chwili wchodzi niska, fertyczna blondyneczka, bardzo zgrabna, z kokardą białą na głowie, w białym fartuszu i ciemnej sukience — Anetka, bez której nie sposób się Daleckiej ubrać. Ubrać się kobiecie, jak wiadomo, nie jest tak łatwo, jak rozebrać. Rozbierając się można wszystko porozrzucić, bo takie Anetki zbiorą, uporządkują — ale ubrać się — haaa — to ciężka praca! Daleko cięższa niż pełnić jakiś społeczny obowiązek np. gospodyni na balu, raucie, albo w jakim Komitecie na „biedne dzieci” lub „głodomorów bez mieszkania”.

Ubrać się — ha — to przecież stworzyć całą symfonię z barw, przybrań, koafiury — — —

Tą ciężką pracę rozpoczynała Mniurniu w pozie leżącej.

Anetka zdejmowała jedne pończoszki, a kładła drugie na nóżki podnoszone do góry.

Teraz tak samo, jak tylko weszła — zaraz wzięła się do pończoszek — koloru — oczywiście rouge.

Nie darmo przecież Mniurniu śpiewała piosenkę o kolorze rouge. Adolf, Doldek, Dolfeczek — uśmiechała się Mniurniu, tak lubi kolorek rouge, a Adaś — też.

A kiedy pończoszki włożyła jej Anetka i zapięła na podwiązki paskowe — Mniurniu podniosła się, aby zdjąć szlafroczek, włożyła dessous, sukienkę i wogóle to, co włożyć należało.

A potem, tak w połowie w negliżu jeszcze — fryzura i wygładzanie, polerowanie, wcieranie, malowanie — etc...

Tak — drobiazg — godzina, półtorej.

Ale zato po skończeniu, kiedy się Mniurniu osta-



tecnie przejrzy w wielkim lustrze, odbijającym całą jej postać — ho! — jest „czarujący motyl, któremu kraszy zazdroszczą kolorowe pawie i białe łabędzie“.

Przypomina sobie określenie jej piękności w ten sposób przez jednego z poetów, gdzieś u kogoś poznanego na balu.

— Motyl, któremu kraszy zazdroszczą „kolorowe pawie i białe łabędzie“.... Ładnie, ładnie powiedziane.

— Była jak różowy motyl w tych tiulach, fantazjach, świetnie uwydatniających jej miękkie kształty, powab i czar brunety.

Przypuszczałby ktoś, spojrzawszy na Mniurniu, że ta jej różowa suknia była bardzo skomplikowaną. Gdyż tam! Poza innemi zaletami miała jedną, najważniejszą — bardzo szybko można się było z niej rozebrać — Ważna rzecz wobec niecierpliwego zawsze Doleczka.

— No jakże — Anetko?

— Prześlicznie.

Krytyczny rzut okiem na całość i Mniurniu poprzedzana przez Anetkę wychodzi z buduaru „bleu“ do salonu pełnego palm, kwiatów, mebli „rococo“, dywanów, obrusów, rzeźb i kieruje się do jadalni, gdzie panna Felicja ze starym szpakowatym, chudym, powolnym, milczącym Andrzejem mozolnie zastawia stół do kolacji.

Tuż w bocznym, mniejszym saloniku dzielącym jadalnię od salonu już są gotowe torciki i wina.

Znów krytyczne spojrzenia na kryształ, na kwiaty, na całą zastawę i Mniurniu dopytuje się teraz panny Felicji o menu i deser.

— Kolację poda się najpóźniej o jedenastej — moja droga.

Panna Felicja wie, co to znaczy: będzie pan Adolf i po kolacji pozostanie później na „naradach majątkowych“. A no plenipotent, radca prawny pani, nie mający nigdy czasu w dzień — zrozumiałe.

Tak zawsze bywa od szeregu lat.

Mniusia, czekając na gości w salonie, siada do fortepianu i zaczyna grać jakiś modny taniec.

Gra zawzięcie

Dzwonek.

Gość pierwszy

III.

Właśnie Bisia, Neteczka i Zonia — dopisały tak samo, jak i panowie — przetańczyły ostatnie takty bluesa i zadowolone z kokieterji zajęły miejsca na kozetkach, kiedy baron Stein, grający zawzięcie do tańca, naraz zmienił tempo i zaczął sobie samemu przygrywać do piosenek, które lubił śpiewać.

Było już po kolacji. Towarzystwo w dobrych humorach przeszło do salonu, aby spędzić resztę miłych chwil wtorkowego przyjęcia u gościnnej i zawsze miłej Mniusi.

Pito kruszon.

Mniusia przez cały czas tańca przyjaciółek nieustannie emablowała Zabiellę.

Prawiła artyście wciąż komplimenta, zachwycała się jego ostatnim koncertem, była dla niego więcej niż u przejmą, aż to zwróciło uwagę i Zosi i Neteczki, które ją zazdrośnie śledziły, a Bisę doprowadzało do pewnego zdenerwowania, przyzwyczajoną bowiem była do stałej asysty muzyka, dziś branego wyraźnie w jassyr przez Mniumnium. I Kański także był nieco zdziwiony obejściem się Daleckiej z Zabiellą, ale znał Mniumnium i wiedział, że ma swoje wybryki.

Do Mniumnium i Zabielli przysiadły się wkrótce i Neteczka i Zonia, wmieszały w ich rozmowę. Artysta był wprost obłączony przez kobiety.

Nie dziwił się tylko temu hr. Tolo i Małanowski i nie zazdrościli obaj powodzenia Zabielle. Wiedzieli doskonale, co znaczy artyzm, powodzenie.

Po tańcu dyskretnie usunęli się do mniejszego saloniku i palili papierosy, opowiadając sobie pieprzne anegdotki.

Kański bawił Bisę, która z roztargnieniem słuchała mecenasa, szeroko rozwodzącego się nad „Tow. moralnie zaniedbanych kobiet”, dowodząc, że instytucja ta ma szerokie, coraz szersze pole do działania. A baron Stein wytrzymał i zaintonował półgłosem:

*Ach chętniebym uwiodł panią,
Gdybyś była piękną lanią.
Ale jesteś chudą szczapą,
Na takie wróblu nie łapią,
Starszych i wytrawnych ptaków.
Oh! Nie piecz że pani raków.*

— Artur, uspokój się — zawołała Steinowa, uśmiechając się, uspokój się i nie śpiewaj dalszego ciągu. To wprost obraża naszą moralność.

Baron na chwilę uspokoił się, nie dokończył swoje śpiewki, zaczął grać jakiegoś walca, lecz po chwili nie wytrzymał i zaintonował półgłosem:

*Czy pamiętasz Janku
W stodole na sianku,
Gdyśmy potajemnie...*

— Artur! Co ci w głowie — wołała Bisia.

Panie zaśmiewały się, a zwłaszcza Orska.

Hrabia Tolo i Malanowski wrócili do salonu, podchodząc do pań i Zabięły. Przysiedli się do nich, rozbawieni piosenkami barona. Hrabia zaczął prawić komplementy Mniusi, a wtedy Orska z Borską wzięły w obroty Zabięłą i Jureczka, prowadząc z nimi rozmowę pełną karambulów.

— Pan Adam upewnia nas, że jest bardzo odporny na miłość. I to mówi artysta — dziwiła się niedowierzająco Orska.

— Fałszywy puklerz — rzuciła Borska. — Artyści zawsze są wrażliwi na piękno kobiece.

— Nietylko artyści — rzekł Malanowski. — My nie artyści także potrafimy oceniać należycie wartość piękna kobiecego. Pani doskonale wie — zwrócił się do Orskiej — że się dawno już w pani kocham.

— A ja w panu Adamie — śmiała się Orska.

No to masz we mnie rywalkę — zawołała Borska.

— Na Boga — widzę, wszystkie panie otaczacie uczuciem Zabięłą. Nic dla nas nie zostanie — zawołał hrabia Tolo.

— Ma pan we mnie trzecią wielbicielek — powiedziała półserjo, półżartem Dalecka i rzuciła na uśmiechającego się artystę wymowne spojrzenie.

— Wyznania te przyjmuję z rozkoszą zwycięzcy serc niewieścich — odparł Zabięły.

Flirt, przybierający coraz głośniejsze tempo, pełen spojrzeń to wymownych, to dających wiele do myślenia artyście, przerwał niepoprawny baron, który po jakimś

kawałku sentymentalnym, uderzył parę taktów raptem w basie i zaśpiewał sprośną piosenkę.

— Artur — zawołała Steinowa.

Posypały się protesty pań, które znały tę piosenkę. Panowie śmieli się.

Bisia nieznaczny grymas pod adresem Zabięły, co spostrzegł, szyderczo uśmiechając się.

Porzuciła Kańskiego, który zaczął rozmawiać z baronem i podeszła do reszty towarzystwa.

— Widzę, jest pan w obłęzieniu przez niewiasty — rzekła z lekkim przekąsem.

— Bodaj to być artystą — zawołał hrabia Tolo. — Zawsze, baronowo, przewaga jest takich nad nami śmiertelnikami.

Dlaczego są tak zarożumiali o sobie — rzekła Steinowa.

Zacząto rozmawiać o powodzeniu artystów u poci pięknej. A tymczasem baron robił dość przejrzyste uwagi o Orskiej, cicho rozmawiając z Kańskim.

Pasażował i zachwycał się Orską.

— Warta grzechu.

— I na pewno nie bez grzechu — dopowiadał mu Kański.

Buldogowatą twarz barona rozjaśnił uśmiech starego cynika. Wreszcie przestał grać. Wstał od fortepianu i sardonicznym uśmiechem zawołał.

— Nie podobają się śpiewki — no to zacznę z innego repertuaru.

W salonie zapanowała raptownie cisza.

— Jakież to repertuar baronie? — spytał hrabia Tolo?

A Stein na to — Co to jest, kto zgadnie?

Liże się w tyle i puszcza się w świat!

— Co, jak? — parska śmiechem hrabia Tolo.

— Powtarzam: liże się w tyle i puszcza w świat.

No, kto zgadnie — kosz szampana.

Ogólna konsternacja, Małanowski chrząka, Dubiski poprawia gwałtownie monokl, Adaś sznuruje usta, a Jureczek patrzy najbezczelniej na Bolską, która się śmieje prosto w twarz Zabielle, Mniusia także się śmieje, Zosia również a Steinowa w myśli częstuje męża epitetem „świnia“, ale się trzęsie ze śmiechu, udaje wesołą, choć w gruncie rzeczy nią nie jest. A Stein mówi poważnie.

— Kto zgadnie — kosz szampana lub pyszne pudło czekoladek.

Wszyscy myślą, śmieją się, a baron czeka na wyniki, czeka dłuższą chwilę napróżno.

— Nikt nie zgadł — a takie proste: marka pocztowa.

— Baronie, baronie inną zagadkę — woła Orska.

— No państwo — ja nie potrzebuje się wysilać, zgadujecie?

— Artur, proszę cię, ostatni raz — uspokój się z temi zagadkami. Ty wiecznie zajęty jesteś, jak nie interesami, to...

— Ależ Bisiu, takie niewinne zagadki — przerywa jej Stein i poprawiając binokle, zwraca się do hrabiego Tola:

— Jakież te kobiety niedomyślne! A wybrałam właśnie zagadkę, czysto kobiecą! Marka. Kobiety lubią dużo pisać listów, albo bardzo, bardzo długie, no i czasem szyć. A tu masz. Nikt nie odgadł.

— Jesteśmy tak moralnemi kobietami, że w tej formie najniewinniejszych zagadek nie rozumiemy — odpowiedziała mu Bisia, udając urażoną — A ty jesteś niepoprawny.

— Panie Adamie — nagle woła Mniurniu, bardzo zajęta dodał modelami Myszkorowskiego, o których mówiła jej Zonia — czy pan tańczy indo-chińsko-murzyński „Finga pstrykwjalne“?

— Nie, pani — nie tańczę.

— Ach! jaka szkoda, cudowny taniec — najnowszy!

— I nigdzie go pan nie widział u nas — pyta Zonia.

— Nie, nigdzie. Widocznie nie jest wprowadzony, a panie skąd znają taki taniec?

— Czytałam — mówi Mniusia — w jednym z pism kobiecych, że obecnie bardzo jest przyjęty w Paryżu.

— Oh jeśli tak — najniezawodniej będzie i u nas — cieszy się Jureczek, namiętnie uczęszczający z Dubliskim na dancingi.

— Panie Adolfie! Trotta! Tańczmy! tańczmy! — woła Orska, nie mogąca usiedzieć na miejscu, — Baronku kochany — graj trotta, złotko!

Złotko baron kochanie siada do fortepianu i gra najmodniejszego fox-trotta.

Orska tańczy namiętnie z Kańskim, przegina się, to znów nieomal kładzie się na swego tancerza, to oboje gwałtownie podrygują, jakby mieli delirjum. Taniec nie przeszkadza jej kokietować Zabiellę.

Orska szepcze:

— Dlaczego pan wczoraj nie był u mnie?

— Bo musiałem być w sądzie.

— I do której.

— Bardzo długo nawet — uśmiecha się mecenas.

— Proszę o punktualność na przyszły raz. Nie lubię czekać nadaremno.

Tańczą teraz dwie inne pary, a Stein nietylko gra, ale sam w takt melodji podskakuje na taborecie, jakby brał udział w tańcu. Udując szalenie pochłoniętego melodją wobec żony, przecież nie spuszcza oka z Orskiej, na którą od szeregu miesięcy ostrzy sobie apetyt.

I myśli:

— To kobieta! — to nie moja Bisia — życie, temperament! Palce lizać, co za kobietka, extra faj.

A kobieta „extra faj” trzęsie się z danserem jak najęta i to samo robią Neteczka z Jureczkiem, Bisia z Adasiem, a Mniuniu z hrabią Tolem.

— Kiedy pani będzie dostępniejszą — pyta Mniunię Dubiski.

— Jakto dostępniejszą?

— No tak wogóle i w szczególe?

— Panu pewno o te szczegóły chodzi?

— Lubię je, ale ładne, a tu właśnie są ładne.

— No to źle pan adresował ofertę.

— Najdokładniej.

— Aby mnie obrazić?

— Ależ nie miałem najmniejszego zamiaru.

— A jak można, do kobiety tak moralnej — w ten sposób?

— Moralny do moralnej — mówi hrabia Tolo.

Oboje śmieją się, a hrabia znów coś tam szepcze swej tancerce, tak samo jak Zabiełło i Kański.

— Więc jutro — dobrze? — mówi namiętnie Orska do Kańskiego i patrzy wien wilgotnymi oczętami, obrzucając również spojrzzeniami Zebiełłę.

— Jutro? Dobrze.

— O piątej?

— Stanie się.

Rendez-vous gotowe.

A Bisia do Adasia:

— Jutro będę u ciebie w południe.

— A czemu nie byłaś dziś?

— Mąż był w domu — obejmuje go pożądlwym spojrzaniem

Mniusia to widzi, czegoś się domyśla, ale nie jest pewna, słucha komplementów hrabiego Tola, ale więcej obserwuje Bisie i Adasia, a prawie wcale nie zwraca uwagi na Kańskiego i Orską. Jest go tak pewna! A już Neteczka z Jureczkiem wcale ją nie obchodzą, choć bardzo ożywioną prowadzą rozmowę i Neteczka dziwne ma wypieki.

Tańce trwają jakiś czas.

Potem odpoczynek z dowcipami barona przy szampanie i owocach, wreszcie całe towarzystwo rozchodzi się.

Kiedy wybił dwunasta, Kański pierwszy pożegnał gospodynię domu.

Za nim — całe towarzystwo.

Dolfeczek jednak szybko powrócił.

I teraz z Mniumnisią są już razem.

I Mniumnisia już nie w toalecie rouge, a w szlafrocisku i nie siedzą w salonie a w buduarze, Kański czynił jej wymówki o Zabiełkę.

Ona się śmieje i bawi jego zazdrością.

Służba doprowadziła wszystko do porządku — śpi.

Panna Felicja także.

IV.

Mniumniu oddawała się Kańskiemu zawsze z całą precyzją kobiety, która chciała mieć pełne zadowolenie w stosunku z mężczyzną. Na to pozwalają sobie zawsze kobiety absolutnie uświadomione pod względem miłosnych parypetji. Ale, jeżeli takie miłosne sam na sam często się powtarza u takich kobiet z tym samym mężczyzną, rychło następuje powszedność, atrakcji specyficznych niema, na plan pierwszy występuje pospolita naturalna potrzeba zadowolenia instynktu płciowego. Tak było z Mniumniu i Dolfkiem.

Mniumniu z góry wiedziała w jaki sposób będzie ją całował jej kochanek, kiedy i jak doprowadzi do zupełnego zmęczenia, wyczerpania, że stanie się dla niej zupełnie obojętnym na jakiś czas.

Jeżeli kobieta jest wyrafinowana, jeżeli w miłostce szuka innowacji, a taką była Mniumniu, później czy wcześniej zacznie myśleć o nowym kochanku. Obcowanie z jednym mężczyzną nie będzie jej wystarczać.

Mniumniu nad tym procesem wewnętrznym, tak pospolitym u tego typu kobiet co ona, nie zastanawiała się. Proces rozwijał się w niej samej, jakgdyby bez

jej udziału, stąd, choć Kański miał jeszcze dla niej wartość jako kochanek, przecież myślała już o Zabielle. Dlaczego o nim? Dlaczego nie o Małanowskim, albo Dubiskim?

Dowiedziona jest rzeczą, że sztuka zawsze oddziaływała na kobiety. Wszystko jedno, czy to będzie muzyka, czy poezja, czy mniej porywająca je rzeźba, albo malarstwo — same kobiety mają pociąg do artystów wszelakiego rodzaju. Tem się tłumaczy historyczne ich wystąpienia wobec muzyków lub śpiewaków czy aktorów wielkich po koncertach, no i po przedstawieniach. A wszystko ma oczywiście podłoże uczuciowe. Ta uczuciowość zdolna jest zawsze rozgrzać i wyobraźnię i fantazję, zaćmić rozsądek, na koniec popychać w ramiona tego czy innego artysty. Tak było i będzie. Kobieta stoi bliżej poezji, niż mężczyzna, kobieta lepiej potrafi odczuć poezję, ona ją zawsze więcej porwie.

A Zabiello miał wielki talent, był człowiekiem przyszłości i oddziaływał na kobiety jako poeta, jako głośny muzyk, a niewątpliwie w przyszłości sława europejska, a więc wszechświatowa.

Mniumniu siedząc w buduarze w objęciach Dolfki, oddając się pieszczotom kochanka, myślała o Zabielle.

Nie wiedziała sama dlaczego, z jakich powodów, kiedy ją Kański całował, pocałunkami roznamietniając, jej myśl przecież biegła do Adasia i w wyobraźni rysował się Zabiello.

Chwilami przymykała oczy, w długim pocałunku oddawała się nieomal cała Kańskiemu, a w wyobraźni

swej widziała się w objęciach Zabielly i kiedy na moment odrywała swoje usta od ust kochanka, zadawała sobie pytanie, czy Adaś tak samo całuje, jak Dolfek czy też inaczej. I była ciekawa aż do udręki, jak tamten całuje.

Kański nie mógł wyczuć tych nastrojów kochanki. Mniumniu nie tyle była namiętną, że w pocałunkach zupełnie nie zdradzała chęci całowania się z innym. Oddawała pocałunki Kańskiemu coraz to gorętsze i wreszcie, jak to u kobiet namiętnych bywa, narazie zapomniała o innym mężczyźnie, stopniowo zupełnie już ulegając kochankowi, który ją w tej chwili trzymał w objęciach i całował nietylko w usta, ale w obnażone ramiona, w szyję, co sprawiało Daleckiej porywającą rozkosz. A Kański szczególnie, z pewnem wyrafinowaniem nawet, umiał właśnie całować i pasjonował się w tych pocałunkach, wywołując u Mnusi gorące rumieńce roznamietniającej się kobiety, drażnionej zmysłowo, której cała natura, całe jestestwo fizyczne zaczyna pogrążyć się w morzu ekstazy żądz.

Kański był mistrzem w takich pocałunkach, przechodząc od najsubtelniejszych do najbardziej gwałtownych, nawet brutalnych.

Wprost oszałamiał niemi.

I Mniumniu czuła jakiś zawsze zawrót głowy.

I jakieś rozmarzenie...

I przedziwne rozleniwienie...

I wszelką utratę wstydu.

Po takich pocałunkach, składanych namiętnie, gwałtownie, absolutnie nie broniła się, kiedy Kańskiemu

przestały wystarczać jej cudne, toczone jak z marmuru, ramiona i kiedy rozpoczynał całą symfonię pocałunków, tworząc najrozkoszniejszą melodię porywów zmysłów, wygrywanych na jej gibkiej kibici.

A jednak — mimo momentów pełnego zapamiętania się miłosnego, w jej umyśle piorunowo powstawało imię „Adaś” i piorunowo gaśło pod wpływem brutalnych nieraz przygarnięć jej do siebie Dolfka i gwałtownego wcałowywania się w jej usta, oczy, szyję, włosy, że tchu złapać nie mogła.

Bladoniebieska ampla dyskretnie oświećlała łuduar „bleu”, w którym Mniumnium szalała z kochankiem, aż do zupełnego wyczerpania, Dolfek opuszczał ją o świtach i wychodził cichaczem przed służbą, pożegnawszy czule kochankę.

A wtedy Mniumnium, nie mogąc zasnąć odrazu, oddawała się rozmaitym myślom.

— Boże — mówiła do siebie — jacyż ludzie są głupi, jakież są głupie kobiety, które odmawiają sobie z racji swojej moralności, rozkoszy miłości. Cóż taka panna Felicja, albo jej podobne zyskują na tem, że obnoszoną latami swoją cnotę, tłamszą w sobie porywy zmysłowe! Komu się to naco przyda? Kogo to może uszczęśliwić? Czemu się stwarza dramaty z powodu takich czy innych romansów? Poco się rzuca jakąś anatemią na kobiety, mające kochanka, czy kochanków! Co w życiu zdolne jest i może zastąpić kobiecie romans z człowiekiem kochanym, bodaj kochanym chwilowo?— Nic, nic, nic. I Mniumnium czuje się zupełnie zadowolona, zupełnie postępującą moralnie.

Ani cienia w niej jakichś skrupułów, ani jakichś wyrzutów sumienia! Skądże znów, dlaczego? Prawo natury przecież od wieków, od stworzenia świata jest jedno i to samo będzie po wszystkie czasy. A jeśli mężczyźni zmieniają swoje kochanki, to dlaczego kobiety nie mają ich zmieniać? Dlaczego mają należeć koniecznie do jednego mężczyzny, będąc wolne, niezależne, będąc na równych prawach z mężczyznami w życiu, na każdym jego szczeblu.

I Mniumnium wszystko cokolwiek mogłoby temu zaprotestować, domagając się podwójnej moralności dla kobiet i mężczyzn stale negowała, dowodząc sobie, że sprawa moralności jest rzeczą zupełnie osobistą, że nikt niema prawa mieszać się w to, ponieważ ona np. mając kochanka, czy kochanków, nikomu nie czyni krzywdy, ani jednostkom ani społeczeństwu.

Niech inni wychodzą zamąż, tworzą rodziny, mają dzieci. Nie każda kobieta współczesna jest do tego powołana, natomiast każda ma prawo zaspakajając swoje potrzeby zmysłowe z tym czy innym — według wyboru, jak mężczyzna. Miała od paru lat Kąskiego, zadawał ją, ale — kto wie — czyby jej więcej jeszcze nie zadawał taki Zebieńko.

Usypiając snem wyczerpanej, zaspokojonej — myślała o artyście, nie przypuszczając, aby był zaplątany w bardzo ciężką sytuację życiową?

I skąd mogła przypuszczać.

Kobiety z towarzystwa, prowadzące romanse, mężczyźni — nigdy nie zdradzają się przed nikim, kogo z kim co wiąże na punkcie miłości. Szczególnie ukry-

wają się z tem kobiety przed kobietami, już to chcąc uniknąć plotek, już to będąc zazdrosnemi o swoich kochanków, już to przez pruderję, czy inne powody. Nikt też nie wiedział w higelifie warszawskim, że Mniurniusia romansuje z Dolfkiem, jak nie wiedział czy i kogo ma za kochanka Steinowa, albo Neteczka, albo Zonia. Hrabia Tollo i Jureczek mogli sobie dyskretnie plotkować, ale tylko dyskretnie w najgłębszej przed innymi tajemnicy i nazywać Mniurniusię, albo Neteczkę kobietami wątpliwej moralności. Głośno żaden z nich nie wypowiedziałby publicznie takiego mniemania. Skądże znowu? Przecież to były ogólnie kobiety szanowane, bez cienia podejrzeń jakichkolwiek.

To też hrabia Tolo, mówiąc w klubie o Mniurniu zaznaczył, że Dawid mógłby o niej szeroko pisać.

Ale — można to było w ostateczności brać dwójako — mógł przecież pisać także, jako o kobiecie moralnej.

V.

Zabielle Dolecka podobała się, podobała się nawet bardzo.

I nie uważał jej zgola za kobietę nie do zdobycia, owszem był pewny, że musi ona mieć jakiegoś kochanka, nie wiedział jednak kto się cieszy jej względami i nie starał się dowiedzieć, choć działała na niego zmysłowo.

Kiedy powrócił do siebie z wieczoru od Mniurniu, długo nosił ją w swej wyobraźni, długo pieścił się jej kształtami, zachwycał budową.

— Kto wie — myślał — czy i ona nie czuje do mnie pociągu, czy przy zabiegach nie zostałyby kochanką, ale cóż — musiałyby zerwać z dotychczasową, a to byłoby dla niego wprost ruiną materialną. Mieć w Polsce wielkie zdolności, mieć nawet duży talent — to znaczy być w nieustannych kłopotach finansowych, to nieustannie borykać się z brutalną rzeczywistością.

Gdyby nie jego obecna przyjaciółka, musiałby biegać za lekcjami, musiałby sprzedawać się za grosze, nie mieć dostatecznego czasu na studia. Temu ona zapobiegła. Miał dla niej głęboką wdzięczność i zresztą,

choć mu się Dalecka i inne kobiety podobały nieraz, choć mógł mieć nie jedną przyjaciółkę, przelotną miłośćkę, kochanki swojej nie chciał zdradzać, mając do tego dosyć okazji. Inni na jego miejscu nie mają skrupułów — on je ma, ma poważne. On wie, że Bisia, jeśli mu pomaga, to czyni to naprawdę z serca, ona chce, chce go widzieć wielkim, sławnym, już dziś jest z niego dumną, już dziś entuzjazmuje się każdym jego wystąpieniem, już dziś każdy koncert wita radośnie i gorąco zajmuje się czem tylko może, aby zawsze miał powodzenie. A czyni to bardzo zręcznie, zaślaniając się stale powagą bankierską i konsulską swego męża. Dobroduszny Stein nawet nie zdaje sobie sprawy ze swego „protektoratu” nad talentem przyszłej wielkości, owszem — jest z tego dumny, jest zadowolony, że dzięki niemu przysporzy krajowi nowy talent, który wstawi kiedyś imię Polski.

Bisia, zawiązawszy stosunek miłosny z Adasiem, wymogła na mężu otwarte conto dla kochanka w banku. Wpływy z koncertów idą na pokrycie wziętych czy branych pieniędzy. Te wpływy nigdy nie pokrywały zadłużeń, nie mniej baron nie pytał się oto na ile Zabełto jest u niego zadłużony. Zabełto kredytu, uprzejmie mu udzielonego po pierwszych recenzjach, a bliższych już stosunkach ze Steinową, nie nadużywał. Żył przyzwoicie, ale skromnie. W karty nie grywał, po restauracjach nie rozbijał się, bywał w towarzystwach warszawskich, ale to najmniej przecież pociągało wydatków dla kawalera.

Aniby baronowi przez myśl nie przyszło, że Za-

bełto jest kochankiem jego żony. Zresztą na punkcie romansów baron był dość swobodnych przekonań. Czyż on nie miał kochanek? Czy żona czyniła mu z tego powodu kiedykolwiek wyrzuty, trapiła go, śledziła, indagowała? Nigdy, Stein przytem wierzył w uczciwość swojej żony, wierzył w jej solidność matki, pani domu, kobiety światowej, a na koniec tak był pochłonięty interesami bankierskimi, że nie miał czasu zupełnie zajmować się kwestjami jak ta: czy żona ma kogo, czy niema. Byle zachowane były pozory. Jemu teraz chodziło o Orską. Właśnie rozstał się z jedną baletniczką, która go zdradzała z jakimś porucznikiem, o czem dowiedział się przypadkowo, łapiąc kochankę na gorącym uczynku i doszedł do przekonania, że niema lepszego materiału na uczciwe kochanki jak właśnie w świecie towarzyskim. A przecież Orska do niego należy i niewątpliwie jako rozwódka nie jest bez grzeszków.

Nieraz w godzinach poza biurowych, między sprawami konsularnemi a układaniem jakichś planów bankierskich rozmyślał, Stein nad Orską, zachwycając się rudowłosą, ciemnooką Zosią.

Pochłonięty interesami i zamiarami opanowania Orskiej jeszcze mniej zwracał uwagi na swoją Bisię, która i tak zawsze miała bardzo dużo swobody.

Tę swobodę wyzyskiwała przedewszystkiem dla Zabełty, niemal codziennie w jego pied a terre, dokąd przybywała mocno zawoalona, starając się nie zdradzać kim jest.

Zapowiedzianą wizytę w południe skutecznie

punktualnie. Wybierała taką porę, ponieważ była dla niej najdogodniejszą ze względu na zajęcia męża i dwojga dzieci, syna i córki, którzy uczęszczali już do pierwszej klasy pierwszorzędných zakładów szkolnych.

Baronowa ubierała się „łatwo” i koło dwunastej nie swoim samochodem, a taksówką, zajeżdżała do Zabięłły na „cudowną”, jak mawiała, chwilkę.

I ona tak samo, jak Dalecka, nie żywiła żadnych skrupułów, gdy chodziło o „trójkącik”, motywując wobec siebie samej postępowanie swoje tem, że mąż znudził się jej, spowszedniał, nie daje już zadowolenia w zmysłowych rozkoszach, a ona nie widzi zgóła powodów do abnegowania z przyjemności miłostki z młodszym, impulsywniejszym, „kochanym chłopcem”.

Nie widziała, taksamo jak Mniusia, co więcej, gotowa byłaby nie wiem jakie ofiary ponieść, byle Zabięłły nie stracić, byle go inna nie wydarła jej. W ten stosunek z Zabięłłą kładła nietylko olbrzymią dozę namiętności dwudziestoośmioletniej kobiety, ale i duży sentymentu, szlachetniejszych porywów dla utalentowanego artysty.

Zabięłło w pyjanie po pierwszym śniadaniu grał najtrudniejsze etudy Bacha, gdy weszła baronowa. Etudy zostały przerwane i zastąpione pierwszą serją pocałunków. Adaś co chwila odrywał usta od twarzyczki Bisi, uśmiechał się, zaglądał w jej pełne ognia oczy i znów ją całował, odbierając także pocałunki.

Zajęli oboje miejsca na małej pluszowej sofeczce,

zadowoleni z siebie. Bisia, jak zwykle, zaczęła mu opowiadać swoje spostrzeżenia z wieczoru u Mniusi.

— Czy zauważyłeś, mój drogi, że Kański stale pierwszy opuszcza gości i wychodzi od Daleckiej?

— Istotnie — przypomniął sobie wielokrotny taki przypadek.

— A wiesz, co to znaczy? On musi być nietylko plenipotentem i adwokatem Daleckiej. On napewno wraca potem — on ma z nią cichy romans.

— Ha, jeżeli może... Ładna, nawet bardzo ładna kobieta ta Dalecka. Gdybym ciebie nie miał — kto wie, czybym się nie pokusił odbić ją Kańskiemu, jeśli istotnie jest jej kochankiem.

— Dziękuję ci za szczerość — nadąsała się Bisia. — A może i tak się pokusisz? — spojrzała na niego podejrzliwie.

— Ja? — wzruszył ramionami. — Że też nie możesz się pozbyć tej swojej stałej zazdrości.

Steinowa zawsze kierowała się zazdrością wobec Zabięłły i nieraz z tego powodu dochodziło pomiędzy nimi do scen pełnych wymówek.

— Nie myśl, mój drogi, że cię nie obserwowałam na tej wizytce. Ja zawsze wszystko obserwuję, choć się z tem nie zdradzam. Dobrze widziałam, jak cię Dalecka pożerała oczyma.

— Ale ja tego nie widziałem. Gdyby nawet tak było Bisiu, wierzaj mi, robiłaby to jedynie przez wrozoną kokieterję. Ja do tego nie dawałem nigdy powodów, natomiast ona, ale przecież wiesz, kto jest Dalecka... Kański — może być, że jednak hrabia Tolo ma

szczerą ochotę umieścić tam swoje znużone serce — to nie ulega dla mnie wątpliwości.

— Orska też cię nie kokietowała, prawda? — zauważyła z dąsem Steinowa.

— A jeszcze więcej Kańskiego. Zupełnie robili wrażenie dwojga kochanków, trzymających się dla przyzwyczajenia zdaleka.

— I Neteczka też nie była dla ciebie obojętną. Wytrzeszczała przy kolacji swoje niebieskie gały, jakby cię pierwszy raz widziała.

Zabiełto roześmiał się.

— Zatem — uważasz — wszystkie są mną w mniejszy lub większy sposób zajęte. Dziwna rzecz, że ja tego nie spostrzegłem, nie odczułem. One — jak chcesz — interesują się mną, a ja tobą. Zgodzisz się, że trzymam się od nich zupełnie zdaleka, a jeśli chcesz mogę wcale u Daleckiej nie bywać i nie spotykać tych pań wogóle.

— Ależ cóż znowu! Ja ci tylko mówię, abys miał się na baczności.

— No i dlatego — rzekł z przekąsem — że łąda słówko, łąda spojrzenie innej kobiety wzbudza w tobie coś z tygrysicy. To właśnie jest moją wprost nieszczęściem — dodał smutno. — A muszę ci zaznaczyć, że żaden artysta nie był i nie będzie wolny od sympatji, hołdów i entuzjasmów kobiecych. Czy to znaczy, że ma zaraz chęci czy myśli zdradzać bliską mu i tak niesłychanie dobrą, subtelną przyjaciółkę, jaką ty jesteś Bisiu?

W słowach Zabiełty tkwił głęboki żal.

Steinowa uczuła się winną.

Istotnie — dlaczego prześladowała tego biednego chłopca kobietami, kiedy wiedziała dobrze, że był jej oddany całkowicie i nie miał w sobie nic z natury Dubiskiego lub Małanowskiego, stale przerzucających się od kobiety do kobiety.

— No przecież ja... ja tylko tak — ja ci tylko mówię, jak się one zachowywały względem ciebie, choć czyniły to bardzo ostrożnie. Wymówek ci nie robię.

— Bo nie masz do nich podstaw.

— Intuicją swoją wyczuwam, intuicją kobiecą, że one wszystkie są tobą zajęte, a przede wszystkim Dalecka.

— To wolno każdej. Nie jestem jednak na tyle zarozumiała o sobie, aby wierzyć w to, co mówisz. Bawiły się w moim towarzystwie, jak każdego innego wieczoru. Wszystkie jesteście skłonne do flirtu, nie wyłączając ciebie nawet; wszystkie lubicie męskie towarzystwo, pieprzne kawały barona, wszystkie jesteście mniej więcej tychże przekonań o życiu, etyce...

— Przypuśćmy, więc co z tego?

— To, że nie pojmujecie, jak może się znaleźć mężczyzna trochę inny, niż Małanowski, albo Dubiski, uprawiający miłość tak samo dla przyjemności, jak grę w karty. A właśnie ja jestem inny — mówił, sam nie wierząc sobie.

Bisia zarzuciła mu ręce na szyję i zamknęła usta długim pocałunkiem.

— Nie gniewaj się — powiedziała miękko. — Ty

wiesz dobrze, że jesteś mi bardzo drogim, że dla ciebie wiele gotowa jestem poświęcić, że czynię wszystko, abyś był szczęśliwym.

— Wiem o tem. To właśnie bardzo zobowiązuje, takie dowody, takie postępowanie oddziaływa ogromnie na mnie. Niech się moja śliczna tygrysica uspokoi — gładził ją po bujnych włosach i — niech nie sieje podejrzeń, nie denerwuje się niepotrzebnie i nie zakłóca swojemi bezzasadnemi spostrzeżeniami naszych wspólnych chwil. A — jesteś niepoprawna i ciągle mnie o coś posądzasz.

— Już, już, już dosyć, dosyć perory! To nie ja, nie, to moje serce mówi — ono, bo cię kocha.

I przytuliła się do Zabięły ruchem kotki rozpieszczonej.

Objął ją w pól i przytulił do siebie.

Powtórzyły się pocałunki gorętsze od powitalnych, a potem — narkoza miłosna, rzucająca ich w ramiona na długie, długie chwile.

VI.

Baron Stein należał do ludzi, którzy raz coś postanowiwszy, wprowadzali to w czyn, wprowadzali z wolna, ale systematycznie, z całym namysłem, przed niczem się nie cofając. Znany był zwłaszcza z takiego postępowania, jeśli chodziło o kobiety. Przedewszystkiem badał takiej, na którą się wziął, stan majątkowy. Wiedział z doświadczenia, co to jest pieniądze, dokąd może zaprowadzić bieda, lub ciężkie warunki majątkowe. Mąż Orskiej nie stał źle w interesach. To mu pozwalało skrupulatnie wypłacać rentę posagową. Dywidenda przynosiła też pięknej pani Zofji spore dochody. Ale to wszystko nie wystarczało. Pieniądze gdzieś się podziwiał, sama nie wiedziała gdzie. Była też w ciągłych terepatach, ciągle miała poważne długi wekslowe i opędzała się przed nimi, jak mogła.

Dowiedział się o tem Stein przez jednego ze swoich agentów i cichaczem skupował weksle, nie dopuszczając później do żadnych prolongat. Orska wskutek tego pożyczala w jednym miejscu, płaciła pożyczką w innym, wreszcie, nie mogąc sobie dać już zupełnie rady z interesami, zadłużona mocno w skle-

pach, zdecydowała się zwrócić o ratunek do Steina, nie wiedząc, jak ułatwia sama drogę do siebie baronowi.

W parę tygodni po wizycie u Mniumnusi znalazła się pewnego dnia w banku.

— Jedyne baron może mi coś poradzić — myślała, jedynie on, jeśli zechce, może mnie uratować.

Nie przypuszczała tylko za jaką cenę zgodzi się Stein służyć ratunkiem. Nawet nie namyślała się nad tem. Zresztą było jej wszystko jedno.

Zakończyła właśnie miłośćkę z Kańskim, który się jej znudził i rozpoczęła polowanie na Zabiełkę.

Niesłychanie impulsywna w miłości, wiecznieszpragniona nowatorstwa, Orska zmieniała kochanków co jakiś czas, szukając wrażeń w nowych stosunkach. To było powodem i rozstania się z mężem, człowiekiem nawskroś uczciwym i bezdzietności. Za Orskiego wyszła pod wpływem chwilowej namiętności. A kiedy szła zgasł, kiedy mąż stał się dla niej nudnym, poszukała sobie kochanka, miała ich później kilku, wreszcie rozwiódłszy się, przyłapaną przez męża na gorącym uczynku zdrady, prowadziła zupełnie już swobodne życie. Każdy mężczyzna, który się jej podobał mógł liczyć na względy. Nigdy jednak Orska nie miała kochanków dwu naraz. I nie przypuszczała nigdy, że mogłoby do tego dojść. Teraz myśl jej cała zwrócona była na Zabiełkę. Nie wchodziła w to — miał czy nie miał kochanki, kto mógł nią być, jej chodziło tak samo jak Daleckiej o zaspokojenie zmysłów, chodziło jej może więcej, niż tamtej — była bo-

wiem bardziej zmysłową aniżeli Mniumnium, a w tej zmysłowości zupełnie już cyniczną. W stosunku z mężczyzną kładła główny nacisk na podniety, na ekstazy, I ten tylko mógł liczyć na dłuższy z nią romans, kto był dość wyrafinowanym.

A jednak nie miała siebie za kobietę niemożliwą, tłumacząc się sama przed sobą ze swego postępowania impulsywnością natury. Z objęć porucznika rzuciła się na krótki czas w objęcia Kańskiego. Rychło zerwała z nim. Po jego zachowaniu się poznała, że Kański musiał mieć po za nią inną kobietę. Kolej przychodziła na Zabiełkę, człowieka młodego, dającego jej wiele do myślenia, jeśli chodziło o romans. Ani sądziła, by mogła mieć rywalkę w Mniumnium, a drugą w Bisi.

Jeżeli Zabiełko ma przyjaciółkę, cóż łatwiejszego odbić go? Po zerwaniu z Kańskim, obmyślając w jaki sposób nawiązać stosunek z muzykiem, znajdując się w trakcie tego w coraz trudniejszych warunkach finansowych, zmienacka dla siebie wpadła w sieć Steina.

Powitał ją niezwykle uprzejmie, odrazu domyślając się celu wizyty rudowłosej pani Zofji.

Jednak się z tem nie zdradził. Udał niezwykle zdziwienie, gdy mu wyłuszczyła powód przybycia do niego.

— Jaktó, droga, kochana pani Zofjo — mówił potulale — przecież mąż pani należy do ludzi zamożnych, no i wypłacalnych.

— Tak, baronie, ale to nie wystarcza.

— A dlaczego nie wystarcza?

— Wymagania życiowe są tak rozciągnięte.

— I zła gospodarka też rozciągała, uśmiechną się Stein. W mniejszym czy w większym zakresie gospodarka musi być prowadzona z kredką w ręku. Wy, kobiety, im piękniejsze jesteście — spojrzał na nią lubieżnie — tem mniej umiecie liczyć się z groszami. Życie was psuje, macie tysiące zachcianek.

— Wysłuchałam z całą uwagą tego, co mi pan powiedział i widzę, że nie jesteś zbyt chętnym, baronie, pomóc mi.

— Ja tego nie powiedziałem.

— Wyrażnie — spojrzała na niego zalotnie.

— Nasunęły mi się pewne tylko uwagi.

— Wyglądające na strofowanie małej Zozi za lekomyślne postęпки — roześmiała się, opuszczając ciemne duże swoje oczy.

Stein przyglądał się jej z lubością.

Przepyszne rude włosy, blada matowa twarz, zdradzająca niepokój, czy aby Stein zgodził się ratować jej finansowe położenie, oczy czarne, ogniste działały na starego barona niezwykle, działały zawsze, działały i teraz.

— Ładnie mała Zosia — z takimi kształtami — obrzucił ją cynicznym spojrzeniem. Dużoby można dać za te kształty — westchnął żartobliwie.

— Tak pan sądzi? — spojrzała na niego przelotnie i zalotnie.

— Od dawna.

Roześmiała się.

Teraz dopiero przypomniała sobie, jak to Stein, ilekroć spotykali się u nich, czy gdzieindziej, obejmował ją spojrzeniami jakiegoś taksatora.

Że mu się podobała, nie wątpiła w to, zbyt pewna swej urody.

— Tak na przykład, ileż są one warte dla barona? — patrzyła na niego wyzywająco.

— Każdą cenę żadaną, cóż kiedy nie można być ich nabywcą!

— A gdyby było można?

— Powtarzam, dałbym każdą cenę żadaną.

Zaczęli się oboje przekomarzać żartobliwie co do ceny. Była to gra słów, umiejętnie prowadzona przez Steina i przez nią, gra, dająca dużo do myślenia Orskiej.

Niebawem zrozumiała też, o co baronowi chodziło.

Zaskoczona, nie wiedziała jak potraktować wyraźną nieomal propozycję zostania jego kochanką. Ta propozycja uwalniała ją od wszystkich długów odrazu, a z drugiej strony narzucała nie tyle odpychającego człowieka, ile nie przedstawiającego dla niej żadnej wartości kochanka, paraliżując jednocześnie zmysły co do Zabiełły.

A baron najspokojniej mówił:

— Cóż by to szkodziło pani obdarzyć mnie swojemi względami?

Drobiazg. A byłoby przyjemnie i miło. Ja wiem, pani należy do kobiet bardzo wymagających w miłości,

i to czuję, ale właśnie takie kobiety najwięcej mi odpowiadają.

— Ależ, baronie, pan już siwiejesz — roześmiała się z przymusem.

— Czego to dowodzi. To niczego nie dowodzi.

— Czyż? — spojrzała na niego z lekką ironją.

— Przecież ja siebie znam. Ja dlatego z Bisią nie mogę żyć jakby należało. A potem ona jest już dla mnie obojętna — po tylu latach — co to dziwnego! A długi — wszystko jedno ile wynoszą — już ich nie ma i będziesz śliczna pani Zosiu naprawdę mogła być rozrzutną.

— No wiesz co, panie Arturze, wszystkiego się spodziewałam, ale takich propozycji...

— Co to jest propozycja? To są oddawna moje gorące pragnienia.

— Oddawna — mówi pan. A czemuż dopiero teraz dowiaduję się o tem?

— Niech to zostanie moją tajemnicą.

— Panby chciał tanio te kształty nabyć — śmiała się.

— Co to jest tanio? Powiedziałem — za każdą cenę.

Milczała. Z opuszczoną głową namyślała się, co mu odpowiedzieć.

On podszedł do niej i pochylił się. Omroczył go zapach perfum mocny, odurzający, zapach jej ciała, włosów.

— Za każdą cenę — kuśił ją szeptem. — W na-

szym świecie to takie zwyczajne, takie proste. Która z was nie ma kochanka, czy też kochanków.

— To miał słuszość — Pomyślała sobie. Napewno ma i Mniusia i Bisia i Neteczka. A czyż ona nie miała?

— Po co się pani namyśla, po co — na co?

Przeszedł się parę razy po gabinecie. Ona patrzyła na jego przysadkowatą, niską figurę, szeroką wygoloną twarz, okrągłe, wylupiaсте oczy.

— Pan sobie żartuje, baronie, w zwykły swój sposób — pogroziła mu palcem. Że pan jest cynikiem, wiemy wszystkie, które pana bliżej znamy, ale żeby w tym stopniu.

— Co to jest cynikiem? Czy to nie życiowe? Dlaczego ja mam być gorszy od innych? Dlaczego nie mam mieć pięknej przyjaciółki? Czy mnie na to nie stać? Czy my się znamy od niedawna? A pani mi się szalenie podoba... O co zresztą chodzi? Rozejść się zawsze można — rozejść się nie tak trudno. A jeżeli pani mi się podoba, dlaczego nie miałem wyraźnie postawić całej sprawy?

— Chce pan wyzyskać moje kłopoty — wzruszyła ramionami zdenerwowana — chce pan wyzyskać moje położenie!

— Co to jest wyzyskać? Jedni drugich zawsze wyzyskują i sytuacje — taki świat. A pani nie potrzebnie zdenerwuje się. To co wielkiego? Dla Pani to nowość?

Gdyby nie miała długów, gdybym nie była zagrożona przez komorników, obróciłaby wszystko w żart, powiedziała słowa prawdy, byłaby wogóle tutaj nie przychodziła — ale nie mogła, Lada dzień groziło jej zajęcie

mebli, areszty na rencie — wstyd wobec męża i znajomych.

— Ach, baronie — powiedziała wesoło — jacy wy mężczyźni jesteście niemożliwi. I czego to się panu zachciewa?

— Pani się o to pyta?

Przekrzywiła główkę i spojrzała na niego zmrużywszy oczy.

— Zatem śliczna, cudna pani Zosieńko?

— Gdybym była pańską żoną?

— Co żona ma do tego? Czy ja się pytam mojej żony, co ona robi. Niech ona sobie na głowie staje.

Orska parsknęła śmiechem.

— No tak — niech staje na głowie.

— To całe szczęście dla pana, że jesteś miłym człowiekiem.

— Więc?

— No cóż... bo ja wiem.

— Kto ma zatem wiedzieć?

— Trzeba mieć baronie zemną dużo odwagi...

— Ja ją mam.

— Zatem — zatem — rzekła z udaniem zakłopotaniem — proszę przyjechać do mnie jutro o piątej.

— Tak to rozumiem — ucałował ją w obie ręce. — Pani się przekona, jak ja potrafię być dobry, powolny wymaganiom twoim.

— Przekonamy się.

I kiedy wracała do siebie od Steina, czuła ulgę ogromną, że odrazu pozbędzie się wszystkich naleźności.

Nic ją to nie obchodzi w rzeczywistości, jakim

kochankiem będzie Stein. Znudzi się — zerwie z nim, a zostać jego kochanką na parę tygodni — cóż to mogło jej faktycznie szkodzić. I czyż musi Stein wiedzieć o Zabielle, gdyby został także jej przyjacielem.

Wróciła myślą do artysty i kazała wieść się do jego mieszkania, postanowiwszy nagle zaproponować mu r-
gizielanie lekcji wyższej muzyki, będąc dość zaawansowaną w repertuarze klasycznym.

Zabiello przygotowywał się do nowego koncertu. Całe przedpołudnie grywał utwory, z którymi miał niebawem wystąpić w Warszawie i na prowincji.

Ciężką pracę artystę tym razem przerwała piękna pani Zofja. Zdziwiony witął ją bardzo uprzejmie. Była u niego po raz pierwszy, wogóle kobiety poza Steinową nie odwiedzały jego mieszkania.

Kiedy ujrzał Orską, chyląc się do jej rączek powiedział z całą uprzejmością:

— Co za niespodzianka i prawdziwy zaszczyt.

— Czy zaszczyt — nie wiem, a co do niespodzianki — muszę panu powiedzieć, że wywołało ją nagle moje życzenie...

— Jakże jeśli wolno wiedzieć?

— Pobieranie u pana lekcji muzyki.

— Lekcji muzyki?

— Pan wie przecież, że grywam i to namiętnie — patrzyła mu słodko w oczy.

— Wiem, ale po co pani lekcje?

— Nie mogę wykonywać sama bez wskazówek trudniejszych utworów.

Rozglądając się po mieszkaniu Zabielly złożonem

z saloniku i sypialni myślała sobie, że artysta bardzo pięknie mieszka, że jest u niego miłutko, tak jakoś przytulnie, a jednocześnie dowodziła konieczności lekcji.

Rozparta na sofeczce starała się uwydatnić przed Zabiellą całe piękno swej budowy, ukazując zgrabne nóżki poza kolana i prężąc piers prawie dziewczęcą.

Zabiello ślizgał się oczyma po jej sylwetce z wdziękiem pochylonej na oparcie sofki i słuchał wywodów Orskiej, nie zdając sobie sprawy z jej podstępu co do owych lekcji — pretekstu zbliżenia się z artystą.

— Propozycja pani jest dla mnie prawdziwie miłą, ale doprawdy, pani Zofjo, **tak nie mam** czasu. Ł. wogóle nie udzielam, przygotowuję się obecnie do koncertu, co mi zabiera wszystkie wolne chwile.

— Ale mnie pan nie odmówi panie Adamie. Pół godzinki co dzień musi pan znaleźć.

— Pięknym kobietom niczego się nie odmawia — powiedział uprzejmie.

Piękne kobiety są na to stworzone, aby rozkazywały, ale nich mi pani wierzy, szalenie jestem zapracowany.

— Ja chcę jednak brać u pana lekcje, chcę koniecznie.

— Specjalnie u mnie?

— Tak. U pana — specjalnie — skokietowała go oczyma i uśmiechem.

— Bardzo pani na mnie łaskawa — obrzucił ją spojrzeniem zachwyty. — Jestto rzeczywiście druga niespodzianka. Nigdybym nie przypuszczał, że zechce pa-

ni być moją uczennicą. Ani razu o tem nie mówiliśmy ze sobą.

— Myśl ta powstała u mnie nagle. Pan przecież wie, że my kobiety rządzymy się często kaprysami, które zjawiają się u nas ni stąd ni zowąd. Otóż jest to, przypuśćmy, także kaprys, nagły kaprys... pięknej kobiety, jak pan powiedział.

— Prawdziwie pięknej.

— Czyżbym się istotnie panu podobała, panie Adamie?

— Nawet bardzo.

— Z pańskiego postępowania ze mną nie spostrzegłam tego — powiedziała wyzywająco. — Jeżeli kobieta podoba się mężczyźnie i to bardzo, stara się jej to okazać w ten czy inny sposób. A pan?

— Ja tylko podziwiałem panią zdaleka.

— A dlaczego nie chciał pan podziwiać zbliżka?

— Nie miałem odwagi.

— Odwagi! Pan i bojaźń wobec kobiet! Nie wierzę w to. Nie jest pan przecież chodzącą niewinnością.

— Ale grzeszków też wiele na sumieniu nie mam.

— Jednak są, proszę się przyznać.

— Przyznaję się.

— I wątpię w to, aby pan rezygnował z dalszych?

— Ach, pani Zofjo, niechże mnie pani nie kusi.

— Ciekawa jestem, dlaczego miałabym pana nie kusić? To tak przyjemnie jest kusić mężczyznę.

— Może to daleko zaprowadzić, pani Zofjo.

— Daleko? Należę do kobiet, które zupełnie nie

obawiają się tych „dalekości”. Byłoby inaczej życie niesłuchanie nudne.

— Jeżeli o panią chodzi, coś wiem o tem wszystkim.

— Coś pan wie? Nic pan nie wie. O nas, ładnych kobietach, a sam pan orzekł, że jestem piękną, różne kursują wersje. Lecz ktoby tam przejmował się tem. Trzebaby było prowadzić formalnie zakonne życie, a ja wcale nie mam i nie miałam nigdy ochoty. Tak, kochany artysto — spojrzała mu wymownie w oczy — nie mam ochoty.

— Zatem podnosi pani w życiu miłośćkę do jednej z najkardynalniejszych przyjemności tego pa-
dołu?

— A pan?

— Wolę miłość.

— Niema miłości, doszłam do przekonania, że niema miłości.

— A więc i przywiązania?

— I przywiązania. Życie płynie tak dziś gorączkowo! Na przywiązanie trzeba czasu, a czas drogi, ubiega szybko...

Zabięło zamyślił się. Pojęcia Orskiej były dla niego nowością, ona sama przedstawiła mu się dopiero teraz we właściwym świetle kobiety, która chciała jedynie użyć życia nawet w obcowaniu z mężczyzną.

— Ale, widzi pani, z miłostki — cóż pozostaje?

— Miłe wspomnienie — westchnęła.

— Miłe wspomnienie — powtórzył za nią i uśmiechnął się.

— Zatem — panie Adamie — jakże będzie z moimi lekcjami, a raczej z naszymi lekcjami?

— Takim kobietom, jak pani, nie mogę odmówić. Jestem do usług — i uśmiechnął się zagadkowo, domyślając się, że Orska nietylko miała lekcje na myśli. Ta cała jej rozmowa, to nagłe przybycie, ów kaprys, o którym mówiła, zachowanie się poprzednie względem niego dało mu poznać, że piękna rudowłosa pani Zofja nie byłaby od tego, aby z nim nie poprowadzić romansu.

Zabięło dość znał kobiety, niejedną miał miłośćkę w życiu, niejedne znał wybryki, wyskoki, nieoczekiwane zupełnie zwroty życiowe naszych blondynek, szatek i brunetek.

Pod wpływem piękności Orskiej zapomniał zupełnie o Bisi, o tem, że jej przez cały czas stosunku z nią nie zdradzał. Pochlebiało mu to, że Orska pierwsza dość wyraźny uczyniła krok w chęci zbliżenia się z nim.

Całował Orską po rękach i godził się z kaprysem pięknej kobiety.

A pani Zofja z przyjemnością czuła dotknięcie jego warg na swoich wypieszczonych rączkach i słała mu powłóczyście spojrzenia, wielce obiecujące.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, że mi pan nie odmawia. Postaram się, kochany artysto, korzystać z tych naszych lekcji, aby pan był zadowolony — mówi-

ła dwuznacznie. — Przekona się pan, że jestem uczennicą pojętą.

— Ani na chwilę w to nie wątpiłem nigdy.

— I kiedyż będę miała przyjemność odbyć tę pierwszą lekcję z panem?

— Choćby jutro.

— W godzinach?

— Proszę wyznaczyć.

— A — to już od pana zależy.

Zabięło zastanowił się. Rano grywał, w południe przyjeżdżała Bisia, bawiła zazwyczaj do trzeciej.

— Między trzecią a czwartą.

— Dobrze, ale codzień.

— Codzień?

— A warunki?

— Warunki? Pomówimy o nich — później.

— Później — ach — no — dobrze. U mnie.

— Tak. U pani.

— Więc czekam pana jutro u siebie między trzecią a czwartą. Proszę się nie spóźnić.

Obiecał być punktualnym.

Wstała.

Ucałował parokrotnie jej dłonie, odebrał kilka wymownych spojrzeń i Orska opuściła salonik artysty, zostawiając po sobie mocny odurzający zapach perfum.

Jadąc do siebie cieszyła się, że nawiązała bliższy stosunek z Zabięłą.

— Już mi się teraz nie wymkniesz — myślała —

będziesz moim kochankiem, bo tak chcę, jak długo — nie wiem, ale będziesz.

I zgola nie brała pod uwagę całej swojej uprzedniej rozmowy ze Steinem. Nawet z pewną bezczelnością interesowała się wytworzoną przez siebie sytuacją „trójkąca”, w którym nie było nic znów nadzwyczajnego — dwu mężczyzn i jedna kobieta — rzeczy zwykłe.

A gdyby przypuścmy Stein był jej mężem?

Po wyjeździe Orskiej Zabięło nie mógł powrócić do przerwanych etiud. Palił papierosy, chodził po saloniku i rozmyślał nad panią Zofją.

— Lekcje? Naraz — tak ni stąd ni zowąd? Ta cała ich rozmowa, prowadzona dzisiaj, wiecznie wyzywające się zachowanie względem niego, które nie uszło jego uwagi, choć temu zaprzeczał kategorycznie wobec Bisii.

To wszystko aż nadto było dla niego wyraźnem: ta kobieta chciała mieć z nim romans. A ponieważ on nie starał się o to, przyszła sama.

Czy było co w tem dziwnego? Nie. Kobiety do wszystkiego są zdolne. Będąc nadmiernie rozwydrzonemi egoistkami, pewne typy myślą jedynie i tylko o zadowoleniu własnem, tak jak Orska, podnosząca miłość do najwyższych przyjemności życiowych.

A więc — cóż mu pozostaje? Zdradzić Bisię — czy nie zdradzać, jak dotąd? Być nadal uczciwym względem tej kobiety — czy też skorzystać z okazji przełotnej, bo przecież inną nie była.

Zabięto zaczął zestawiać Steinową i Orską — kobietę, którą miał i tę, którą mógł mieć.

Każda była w swoim rodzaju. Obie bardzo kształtne, tegoż wzrostu i nieomal tejże tuszy — jedna ciemna szatyna prawie brunetka — druga ruda, nieomal miedzianowłosa. Niewątpliwie Orska była więcej zmysłową, namiętniejszą. Niewątpliwie oddawała się goręcej, aniżeli Steinowa. Kto wie nawet czy nie była gorętszą od Daleckiej, a już napewno cyniczniejszą, skoro zdobyła się pierwsza na krok zbliżenia się z nim.

I oto chęć pogrążenia się w szaf, który przeczuwał artysta w objęciach rudowłosej piękności, chęć nagle powstała posiadania tej kobiety, całowania jej ciemnych oczu, piersi zarysowanych tak wydatnie, obejmuje nagle Zabiętego, a pod wpływem tej chęci słabnie opór, słabną wszystkie zobowiązania względem baronowej, wszystkie argumenty, cała jego wdzięczność.

Jest nawet Adam w tej chwili rozgoryczonym, że Steinowa wzięła go w jassyr. Jest z niej wprost niezadowolonym za to, że skrępować go zobowiązaniami. Już, już gotów zdecydować się na skorzystanie z delikatnie podsunętej mu oferty, gdy w tem telefon:

— Panie Adamie? — słodki głos Mniusi, to ja — poznaje pan.

— Pani Mniusia?

— Tak — pani Mniusia! Czy mógłby pan być dziś widzialnym, o piątej po południu?

— Zawsze.

— To proszę do mnie na herbatkę. Coś ważnego mam panu do powiedzenia.

— Cóż takiego, pani Mniusiu?

— Coś naprawdę bardzo ważnego. Powzięłam pewną myśl, do zrealizowania której koniecznie jest mi pan właśnie potrzebny.

— Jestem do usług.

— A kiedy koncert?

— Niebawem.

— A będzie dużo emocji?

— Chciałbym, aby było dużo.

— Więc się przygotowuję?

— Tak. Po całych dniach.

— I dlatego zapominam o znajomych?

— Myślę o nich.

— Myśleć nie wystarczy, trzeba się pokazywać osobście. Pan jest nie dobry człowiek.

— Postaram się poprawić. Ale doprawdy pan Mniusiu szalenie jestem zajęty.

— Trzeba dla mnie jednak znaleźć zawsze chwilkę czasu. Powinien pan brać przykład z hrabiego Tola, który jakoś więcej teraz pamięta o mej samotności.

— Hrabia Tolo?

— A właśnie.

— Niebezpieczny człowiek.

— Ale nie dla mnie.

— A dla pani kto nim może być?

— Dla mnie? Nie zastanawiałam się nad tem.

I Zabięto prowadzi dość długo tę rozmowę pozornie bez znaczenia z panią Mniusią, a w jego wyobraźni rysuje się jej ponętna figura, zalotne oczęta, cudowne kształty.

Byłby w kłopotcie, gdyby go zapytano, która jest więcej pociągającą, Dalecka czy Orska. Obydwie nie są mu obojętne.

Jeśli miałyby wybierać — nie wiedziałby co uczynić, obydwie były godne pożądania, miłości.

VII.

Mniumnium była by nie telefonowała do Zabięty, gdyby nie opuścił jej dni przyjąć. Nie mogąc go nigdzie ujrzyć, zdenerwowana, nieustannie myśląc o artyście, powzięła myśl sprowadzenia go do siebie pod jakimkolwiek pretekstem. Przypomnieć mu dzień przyjęć było zamało. Mógłby nie przyjść. Zresztą i w taki dzień nie było wzajemnej swobody, a Mniumnium chodziło o tę swobodę. Po pewnym namyśle zdecydowała się na jeden z licznych projektów, które powstawały w jej głowie i zadzwoniła do Zabięty. Otrzymałszy obietnicę przybycia, teraz zastanawiała się w czym by go przyjąć. W domu? jego? w czymże? Naturalnie w toalecie stojącej na granicy pomiędzy suknią a szlafrocikiem. I takie suknie miała. Były zupełnie luźne, krótkie, bardzo wycięte z przodu, doskonale układające się w załamania przy każdym ruchu, miały krótkie rękawki — najpiękniejszy jedwab. Taką wybrała suknię koloru błękitnego, kazała panie Felicji przygotować kawę, ciasta, wino, herbatę, likier w małym saloniku i czekała na artystę, rozmyślając nad tem czy i jak ułożyć się pomiędzy

nią a nim dalszy stosunek. Wierzyła głęboko w potęgę swoich wdzięków i nie wątpiła, że Zabięto później czy wcześniej, gdy ona zechce, ulegnie jej, ulegnie nawet, gdyby miał względem innej jakieś zobowiązania. Zgoła nie różniła się co do tego od Orskiej. Musiałby chyba kochać się i to kochać poważnie, jeśliby okazał się opornym.

Od ostatniej wizyty artysty, ciągle stał jej na myśli. Do tego stopnia nią owładnął, że Kańskiego ani starała się zatrzymywać, ani go wzywała telefonem, narzekając na cierpienia w boku. Dla pozorów przez Dolfka wzywała nawet lekarza. A chociaż nic nie znalazł, przepisał lekarstwa, zalecił spokój, jakby go nie miała. Kański uwierzył w te cierpienia i porzucił ją w spokoju. Zrywać z nim zupełnie nie miała zamiaru, obawiała się. Prowadził wszystkie jej interesy doskonale, lecz jak Orskiej nie przeszkadzało zdecydować się zostać kochanką barona, a prócz tego mieć jeszcze romans z Zabiętą, jak Steinowej mieć kochankę obok męża, tak jej mieć także dwu przyjaciół — jednego na codzień, drugiego ot tak — od święta. Tym od święta miał być właśnie Zabięto.

Ani przypuszczał artysta, że Dalecka taksamo jak Orska żywi względem niego zamiary nawiązania roman-su. A miałyby to dla niego nierównie większe znaczenie, aniżeli dawanie do poznania przez Orską, że pragnęłaby zbliżyć się z nim.

Punktualnie o piątej przybył do Daleckiej i zastał ją z książką w ręku w salonie.

Powitała go uśmiechnięta, zalotna, jak się wita kogoś z mężczyzną, na kim bardzo zależy.

— Jako ślicznie z pańskiej strony, że pan dotrzymał słowa.

— Jakżebym miał nie dotrzymać. — Coż to za tak ważny interes pani Mniusi? —

— Ach, Boże! Chciałam pana widzieć — czy to mało?

— Aż zawiele. — Co za łaska! Ja doprawdy nie wiem, czem sobie zasłużyłem ze strony pan na tyle uprzejmości, że tak pamiętajcie o mnie?

— Jako pań?

— A tak. Dopiero co miałem propozycję udzielania lekcji, później wezwanie od pani.

— I wolno wiedzieć, któż to tak pragnie kształcić się w muzyce?

— Są to rzeczy á discretion. Ten ktoś może sobie nie życzyć, aby inni o tem wiedzieli.

— A czy znam pańską przyszłą uczennicę?

— Może.

Dalecka nie była pewna, lecz nie mogła zaręczyć, czy to nie Boiska lub Orska.

Targnęła ją zazdrość, obawa, że jeżeli jedna z nich, w takim razie może go stracić, obydwie przecież były bardzo ładne i w obydwu gustował. Postanowiła na wszelki wypadek działać szybko.

— A czy przynajmniej ładna ta pańska uczennica?

— Bardzo ładna.

— Nawet bardzo. I podoba się panu?

— Jak każda ładna kobieta.

— To panu każda się ładna podoba?

— Czyż nie jestem mężczyzną — roześmiał się obrzucając Daleką krótkimi, gorącymi spojrzeniami.

— Niech więc się uczy, niech zostanie nawet w przyszłości artystką — ostatecznie mało mnie to obchodzi — powiedziała w rozdrażnieniu, którego nie umiała ukryć. Przeczuwała w owej uczennicy rywalkę, choć nie miała do tych przeczuć najmniejszych podstaw. On odczuł to rozdrażnienie i odparł, żałując, że się niepotrzebnie wygadał:

— Niestety nie zostanie, ponieważ lekcji nie przyjąłem. Nie mam czasu na dawanie lekcji. Wie pani przecież, pani Mniusiu, że przygotowuję się do koncertu.

— Ach wiem, wiem i oczekuję go niecierpliwie.

— A — a czemu panią tak podrażniła ewentualność owych lekcji?

— Mnie? Podrażniła? Skądże znowu.

— Zdawało mi się.

— A gdyby podrażniła, to co by pan z tego mógł wywnioskować?

— Że chcą mi niepotrzebnie zabierać czas.

— Otóż to!

W sąsiednim saloniku służący zastawił stół, więc poprosiła go na herbatkę.

— Przejdźmy na szklankę herbatki i wtedy wytłuszczę panu o co mi chodzi.

— A więc pani jednak ma jakiś ważny interes do mnie.

— Obok szczerzej chęci widzenia pana.

— Umieram z ciekawości dowiedzenia się o co pani chodzi.

— Zaraz, zaraz — proszę. A może kawy z likierem?

— Jeżeli pani łaskawa.

— Otóż drogi, kochany panie Adamie chodzi mi o ustanowienie poważnego stypendjum muzycznego imienia Daleckiej.

Zabiełto wiedział, że Mniusia sporo wydaje pieniędzy na cele dobroczynne, jednak był zaskoczony jej myślą.

— Poważnego stypendjum dla muzyka? — zdziwił się — skądże taka hojność?

— Z miłości dla pana — roześmiała się w głos półserjo — półzartobliwie ciągnąc.

— Tak. Z miłości dla pana. Czyż pan nie spostrzegł, że się w panu kocham od dawna?

— Boże! Jak wy kobiety potraficie sobie żartować z najwznioślejszych uczuć — załamał ręce Zabiełto z tragikomicznym wyrazem twarzy. — W każdym razie jestem do głębi wzruszony wyznaniem pani i szlachetnym jej zamiarem. Sztuka u nas potrzebuje poparcia i to wielkiego. Ale skądże pani powstała myśl takiego stypendjum?

— I tego panu w tej chwili nie mogę powiedzieć. Może pan się dowie, ale kiedyś, później — rzuciła mu czarujące spojrzenie.

— Więc to jest pokryte na razie tajemnicą?

— Tak, panie Adamie. Ale pan podejmie się ułożyć ze mną rzecz całą?

— Naturalnie. Sprawa bardzo doniosłej wagi rzekł poważnie.

— Bo to trzeba wszystko ułożyć. Trzeba wiedzieć dla jakich muzyków, czy to ma być przy naszym konserwatorium, czy i na zagranicę — nie tak?

— Oczywiście, że tak. Cudowna myśl. Jaka pani dobra kobieta — powiedział szczerze.

— Dziękuję za uznanie — mówiła uradowana. — Wie pan, Kanski nie zna się na tem. No bo i cóż może mieć wspólnego adwokat z muzyką? To też, kiedy powzięłam tę myśl, postanowiłam pana prosić o pomoc, a dopiero później omówi się z Kanskim wszystko pod względem prawnym.

— Czy wiono wiecież jaką sumę wyniesie pani stypendjum?

— Sześć tysięcy złotych rocznie.

— Ależ to można dwa stypendjum ufundować po dwieście pięćdziesiąt złotych.

— Tak pan sądzi.

— Naturalnie.

— Zastanowimy się nad tem.

I zaczęli się zastanawiać. A przez ten czas ona nalewała mu to likieru, to wina, częstowała kawą, ciastem i zawzięcie kokietowała całą sobą, wdzięcznie się przeginając, pochylając, to uśmiechem, to znów spojrzaniem biorąc go formalnie w posiadanie.

— Czarująca jest z pani kobieta, nie tylko dobra.

— Ach i to pan mówi? Pan tak trzymający się zawsze zdaleka od nas, wielbiciel swego talentu.

— Ja trzymam się zdaleka? Ależ pani Mniusiu!

Ujął ją za rękę i ucałował.

— Niech to będzie dowodem, że nie.

I znów ją pocałował.

— A to niech będzie dowodem podziękowania za owe stypendjum.

Jeszcze raz ją pocałował.

— A to za miłe przyjęcie.

— Ładnie miłe — śmiała się — jeśli ktoś mówi coś podobnego, ale się nie zjawia.

— Obiecuję poprawę.

— Bo pan musi, bo musi pan przychodzić teraz. Trzeba ułożyć cały statut stypendjalny. Niechże pan podobny jaki przejrzy.

Obiecał.

Siedział rozmarzony winem, likierem, zlekka podniecony czarną kawą, a przede wszystkim samą Da-leką.

— Mistrzu — obudziła go z zamyślenia.

— Słucham pani.

— O czym?

— O pani.

— O mnie — cóż znowu.

— Tak. Niebezpieczną jest pani kobietą.

— Takich jest więcej.

— Dla mnie — pani.

— Ale dlaczego?

— Przez cnotę i serce.

— Niech mi pan tak powie szczerze. Czy naprawdę jestem bardzo urodziwa?

— Pani o to pyta mnie, a wie sama.

— Ale nie jestem w apńskim guście.

— Jakto nie?

— Bo nie.

— Nie pojmuję.

— Gdybym była, inaczej by pan ze mną postępował.
O hrabia Tolo — co innego.

— Pani go tak wspomina, jakby się starał o pani
względy.

— Nie zna pan moich przekonań? Zamąż wyjść —
teraz? Nigdy? Mieć kochanka — hm — wyzywała
go oczyma — w każdym razie hrabia Tolo nie jest
dla mnie przynajmniej materiałem na kochanka.

— A ja — zapytał filuternie.

— Pan — spojrzała na niego przeciągle i niby za-
kłopotana powiedziała: — pan — może, nie wiem.

I roześmiała się, wstała od stołu, znów mu rzuciła
powłóczyście spojrzenie, pogroziła paluszkami i poszła
do salonu.

Zabiełło podążył za nią.

Wydała mu się niezwykle rozkoszną, niezwykle mi-
łą, daleko ciekawszą, niż Orska, subtelniejszą, bardziej
kobietą niż tamta.

— A możeby tak mistrz zagrał mi co, jesteśmy sa-
mi — kokietowała go już na dobre.

Nie dał się prosić, jak to miał zwyczaj czynić.

— Dam pani odpowiedź na to „może”.

Rzucił kilka pasaży, a potem rozległa się Rapsodja
Liszt.

Grał porywająco, z kapitalną techniką i wielkiem

wzaniem się w dzieło, grał tak, że choć Mniemni ma-
ło była muzykalną, przecież ją olśnił.

Siedziała wpatrzona w niego, zasugerowana
jego temperamentem, dynamiką uczuć.

W wyobraźni czuła się w jego objęciach, pod
paląciami pocałunkami;ieszczoną aż do najwyższej
rozkoszy.

Przymknęła oczy i oddawała się marzeniom.

— Oto moja odpowiedź — szepnęła siadając
przy niej.

— Czy mam w nią wierzyć, panie Adamie —
szepnęła, darząc go głębokiem, namiętne spoj-
rzeniem.

— A dlaczegożby nie — ujął jej dłoń i zaczął ca-
łować pieścotliwie.

Nie broniła się, lekko ku niemu pochylając.

— Kiedy więc mogę spodziewać się pana?

— Kiedy zechcesz śliczna pani Mniemni.

— Jutro wieczorem.

— Dobrze — całował ją po rękę.

— Będziemy układać... statut stypendjalny.

— I łamać różne trudności.

— Tego statutu.

— Tak. Ale proszę tak znów mojej rączki nie
całować.

— A dlaczego?

— Bo to mnie denerwuje.

— Mnie także.

— Rozdrażnia.

— I mnie również...

Wpół leżąc, wpół siedząc działała niezwykle na jego zmysły.

Zajrzał jej w oczy.

Uśmiechnęła się.

Pochylił się teraz on ku niej.

Wołała go ku sobie słodkim uśmiechem.

I nawet nie spostrzegł się, jak przestał nad sobą panować i przylgnął chciwie bez zastanowienia do jej wiśniowych warg, przylgnął pocałunkiem chciwym, gwałtownym.

Oddała mu go, porywając w uścisk ramion.

— Kocham cię, Ada — szepnęła — kocham cię.

— A ja ubóstwiam.

Otoczył ją ramionami i całował.

Nagle, oprzytomniawszy, wyrwała mu się niby urażona, nadąsana.

— Nie... nie... nie — szepnęła — nie.

— Co cudowna moja?

— Nie można tak całować — oddychała ciężko, niby zażenowana a uszczęśliwiona swoim nagłym, szybkim zwycięstwem.

— Balamutem jesteś, panie Adamie. Nie ja niebezpieczną, a ty.

Byliby może wrócili znów do uścisków i pocałunków, gdy nagle zadźwięczał dzwonek i służący zaanonsował Orską.

Dalecka wybiegła na jej powitanie, a Zabięto usiadł przy fortepianie, uśmiechając się zagadkowo.

Ciekawy był, jakie wrażenie uczyni na Orskiej jego wizyta u Mniurniu.

Zaledwie Orska weszła i ujrzała go, obrzuciła spojrzeniem ironicznym, gniewnym, obrzuciła błyskawicznie wnet zmieniając je na promiennie wesołe.

— Ach — kogo ja tu widzę — zawołała, witając się z artystą.

— Zaprosiłam pana Zabięto w celu ułożenia wspólnie statutu pewnej fundacji, którą mam zamiar przeprowadzić.

— Fundacji?

— Dla muzyków.

Zaczęła opowiadać Orskiej o swych zamiarach, ale pani Zofja udawała tylko, że słucha. Wpatrywała się co chwila w Zabięto i w myślach jej odrazu powstało podejrzenie, że ta cała fundacja jest tylko haczykiem wędką, zarzuconą na artystę.

— Skądże ci znowu przyszła podobna myśl — spytała ironicznie.

— Przecież dużo wydaję na różne cele. Tu może być kompetentnym tylko pan Adam.

— A przyzna pani — wtrącił Zabięto — że ten cel jest bardzo piękny.

— Niewątpliwie.

Udała nagle wielkie zainteresowanie się całą fundacją, aby pokryć niezwykle wzruszenie zazdrości, które ją ogarnęło.

Aż się sama zdziwiła sobie, że Zabięto tak ją bardzo obchodzi.

— A ja tak wpadłam, przechodząc od Hersego.

— Może herbatki?

— Nie, dziękuję. Wyobraźcie sobie, w najbliższą

niedzielę Bolska urządza piknik. Czy dzwoniła o tem do pani?

- Nie jeszcze.
- Właśnie zawiadomiła mnie o tem.
- A pan otrzymał zaproszenie?
- Także nie.
- Ach, to otrzymacie.

Rozmowa potoczyła się o pikniku. Przez cały czas krótkiej zresztą swej wizyty, pełnej w dalszym ciągu ploteczek towarzyskich, Orska nieustannie obserwowała Zabiellę i Mniumniusę, ale nic nie mogła wywnioskować konkretnego dla siebie ze swych domysłów.

VIII.

Gdyby Zabiello wiedział, że Orska nawiązała ze Steinem stosunek poprostu za cenę swoich długów i przez chęć ubierania się u Myszkorowskiego, gdyby wiedział, że Dalecka ma kochanka w Kańskim, możeby nie brał tak gorąco stosunku tych kobiet do siebie. Ale nie wiedział. Nie wątpił, że jedna i druga mogła mieć niejednego romans. Przeszłość nie obchodziła go jednak. Obchodziła teraźniejszość. Wprawdzie Steinowa miała męża, lecz nie żyła z nim de facto. Zresztą w ten jego do niej stosunek wchodził w grę interes życiowy — kwestje materialne, które wiązały go z tą kobietą. Nie był on dziś dla niego jakąś specjalną atrakcją, nie pociągał. Zawiązany od dłuższego czasu — spowszedniał, chwilami nawet stawał się uciążliwy wraz z tą zależnością materialną od Steina i nieraz nawet drażnił muzyka. Bywały chwile, w których rad byłby uniezależnić się od Steinowej. Czuł jednak, że może to nastąpić kiedyś, kiedy mu na to pozwoli jeszcze większy rozgłos. Tymczasem musiał stosunek ten znosić i choć Steinowa miała dla niego wartość, jako kobieta, jednak uczu-

cie dla niej do pewnego stopnia musiał udawać. Ten romans z baronową stawał się teraz tem chłodniejszy, im energiczniej zabiegały o jego względy Dalecka i Orska.

Powaby obydwu, temperament, formalne narzucanie się gasiły stopniowo skrupuły. Wierny dawniej Bisi, nie chcący zejść z tej drogi wierności, stawał się Zabięto coraz mniej odporniejszym względem Mniumniusi i Zoni.

Zaborczy, jak każdy mężczyzna, nieznoszący obok siebie drugiego, gdy chodziło o kobietę, uważał za rzecz ostatecznie dopuszczalną, aby mężczyzna mógł mieć jednocześnie kilka romansów. W życiu tak bywa przecież — dziś ta, jutro — inna.

Nie rozumowałyby może w ten sposób, gdyby Dalecka i Orska nie działały na niego, jeśli już nie jednakowo, to w każdym razie w bardzo silnym stopniu. W grę tutaj nie wchodziły żadne jakieś wyższe uczucia, zwyczajna zmysłowość, zwyczajne nasytanie się wdziękami kobiecemi, skorzystanie z nadążającej się okazji. Zabięto wiedział, że pod tym względem zupełnie nie ustępuje takiemu Małanowskiemu, albo hrabiemu Tolowi.

Czyż oni byli inni? Czy taki hrabia Tolo, do czego przyznała się sama Mniumnusia, nie zabiegał o jej względy? To mu zgoła nie przeszkadzało mieć napewno jakąś miłośćkę.

Zabięto rozmyślając nad dwiema kobietami między które rzucił go los, porównyując siebie z Ma-

nowskim i hr. Tolem, drwił z dzisiejszych i nie dzisiejszych ludzi.

Jakie stosunki między mężczyzną i kobietą zwłaszcza w czasie powojennym przeczyły urzędowej czy nieurzędowej monogamji! Jakże górę brały związki poligamiczne. Jakże kobieta sprowadzała sama te stosunki z jakichś wyżyn szlachetniejszych do erotyzmu ściśle egoistycznego i oparte o fizjologję! Orska nie wahała się miłośćkę wynieść na szczyty zadowoleń życiowych, Dalecka, aby ją osiągnąć, fundowała stypendja, co już nie miało dla niego najmniejszej wątpliwości wskutek jej zachowania się przy układaniu statutu.

Nie była jeszcze jego kochanką, ale w pocałunkach, uściskach oddawała mu się przecież, odkładając ostateczną chwilę oddania się jedynie przez delectowanie się pieścizkami miłosnemi, które siłą rzeczy zatracają zawsze swoje napięcie po fakcie dokonanym oddania się.

Denerwowała go i niecierpliwiła, ovladała nim coraz bardziej, coraz więcej kazała o sobie myśleć i tym swoim kunktatorstwem, drażnieniem zmysłów zbliżała bezwiednie do Orskiej, nie wiedząc, że ma w niej rywalkę.

Półowiczność stosunku kobiety z mężczyzną zawsze jest dla niej niebezpieczną. Natura męska, impulsywniejsza, podniecana nieustannie, będzie szukała ujścia dla swej namiętności u innej. Dlatego narzeczeństwa, pełne zażwyczaj karesów powinny być krótkie.

Zadawalniana przez Kańskiego Dalecka rozkoszowała się całą gamą uścisków i pocałunków Zabieli, nie spiesząc się pozostać w pełni jego kochanką. Gdyby wiedziała, że tym sposobem rzuca Zabielię w objęcia Orskiej, postąpiłaby inaczej — tak doprowadzała go chwilami do pasji i mimowoli zwracała ku tamtej.

Artysta kochanek zdawał sobie z tego sprawę. Zajęty Daleką, Ignął do Orskiej. I ona nie była jeszcze jego kochanką i ona grała mu dopiero na nerwach, grała zupełnie rozmyślnie, ale Zabieli wiedział, że brutalniejsze tylko zachowanie się jego względem niej, a ulegnie mu niezwłocznie, ulegnie szalejąc z namiętności. Kulminacyjny punkt tu i tam dochodził do zenitu. Z tego napięcia Zabieli korzystała przedewszystkiem Bisia.

Nie pożądał jej jak dawniej, nie pragnął, lecz obydwie tamte kobiety grą na zwłokę rzucały go w objęcia Steinowej, z którą gasił pożądanie tamtych. Gwałtowność, porywczosć jego usypiała w niej wszelkie podejrzenia, czyniła czulszą, serdecniejszą, doprowadzając tem chwilami do nieważności. Nie jej pragnął właściwie a tamtych. Będąc z nią, w wyobraźni swej widział się z Daleką lub Orską.

Tak minął tydzień, drugi — wreszcie Zabieli doprowadzony do najwyższego już napięcia zmysłowego postanowił położyć kres igraszkom i przeciąć ten niebywały dla siebie stosunek. Trzech kochanek na raz nie chciał mieć. Cekał go koncert, musiał bar-

dzo usilnie pracować, postanowił na jakiś czas zaprzestać wszelkiego zbliżania się ze Steinową, pozostawiając to ciężką pracę, i ostatecznie zakończyć albo z Daleką, odsuwając czasowo Orską, albo z nią, odsuwając Daleką.

Właśnie miał dzisiaj być o koło trzeciej u Orskiej. Zatem ona, ona musi stanowczo zdecydować się, zatem ją musi doprowadzić do takiego stanu, aby mu się dłużej nie opierała, nie męczyła, nie drażniła. A jeżeli nie zechce, odrzuci ją najbrutalniej i zmusi Daleką.

Zastanawiał się w tej chwili nad tem, dlaczego jedna i druga tak się lubują w zmysłowości, dlaczego ta zmysłowość tak stała się powszechną w społeczeństwach powojennych, afektacja czysto płciowa doprowadza do morderstw i samobójstw natury bardziej nerwowej, mniej odpornej, dlaczego doprowadza do wynaturzeń, gdy weszła Steinowa.

Odrzuć zauważyła, że był jakiś rozdrażniony, zdenewrowany i zaniepokoiła się tem.

— Tobie coś jest Ada — rzekła, czule go witając.

— A tak. Jakiś niezdrow jestem. Może przejawia się znowu tym moim koncertem — nie wiem sam...

— No przecież można termin przesunąć, nie jest ogłoszony. Po co się zabijać — persadowała mu.

— Niepodobna, moja droga, jestem zadłużony w banku — trzeba conto wyrównać.

— O wielkie rzeczy. Dam ci, Ada, prywatnie i wypłacisz.

— Dziękuję ci Bisiu i tak już wiele robisz dla mnie. Nieraz mam wyrzuty poprostu, że nadużywam twojej dobroci.

— Ależ Adecku co też mówisz. Niema o czem myśleć. Masz się denerwować, drogi chłopaku mój — załatw tak sprawę, jak ci radzę, a zresztą Stein może poczekać. Mówił mi wczoraj, że przeprowadzi świetny jakiś milionowy interes. Cóż to tam znaczy parę tysięcy złotych.

— Tak, ale terminu koncertu nie chcę odkładać — upierał się.

— I będziesz przypłacał to zdrowiem?

— Trudno. Posunęłam się ogromnie w obu koncertach. Pamiętaj, że gram je po raz pierwszy. Chcesz posłuchać? Zagram ci dwa fragmenty.

— Ależ proszę cię Ada.

Usiadł do fortepianu i odegrał z całym pietyzmem Chopinowskie utwory, olśniewając grą Steinową.

Z jakimś nabożeństwem, przebóstwieniem patrzyła w niego, z niezwykłą adoracją, a kiedy skończył powiedział.

— Genjalnie, genialnie.

Usiadł przy niej i objął ją w pól, przyciągnął i pocałował.

— Tę genialność tobie przedewszystkiem zawdzięczam, tej swobodzie w pracy, którą mi dałaś.

Całowała go serdecznie, przyjaźnie.

— Ty sobie żartujesz ze mnie i wiesz jak nie lubię o tych rzeczach mówić.

Pieściła się z nim, zaniepokojona jego wyglądem, zdenerwowaniem.

Rzeczywiście, Zabiłko był mizerny. Nie sypiał po nocach, dręczony Orską i Dalecką.

— Możebyś ty jednak choć na parę dni wyjechał na wypoczynek — tak mizernie wyglądasz?

— Ależ, Biesiu, to niepodobieństwo, kochana moja. Koncert musi się odbyć, a że jestem mizerny, coś dziwnego — grywam po całych dniach i dlatego czuję się trochę wyczerpany. Nie mniej byłoby mi bardzo przykro, gdybyś przez to poniechała swoich wizyt.

— A cóż znowu. Sądzisz, że przyjeżdżam do ciebie tylko interesownie — cóż znowu. Owszem, jeszcze częściej będę cię odwiedzać, gdyż obawiam się poważnie o twoje zdrowie. Przyśle ci doskonałego wina, starego doskonałego wina na wzmocnienie.

Całował ją po rękach i dziękował.

Ta kobieta zabijała go swoją dobrocią, przytłaczała nią. Pod wpływem jej uczuć budziły się w nim pewne skrupuły zdrady, ale zaraz przychodziły refleksje, że przecież ona także zdradza swego Artura, że kochanek prędzej może zdradzać kochankę, niż żona — męża. A potem, potem nie mógł darować ani Orskiej, ani Daleckiej ich gry z nim, jakieś przedziwnej zabawy, doprowadzającej go do wściekłości. Jego ambicja, egoizm były do najwyższego stopnia podrażnione.

Tem zajęty siedział osowiały, smutny, nie odpo-

wiadając prawie na pocałunki Bisi, czekając tylko chwili, aby go opuściła.

A ona wciąż mówiła o jego zdrowiu, o przepracowaniu i jeszcze na pożegnanie błagała go, aby się oszczędzał.

Odetchnął, kiedy wyszła.

Wówczas myślą wrócił do Orskiej.

Nadchodził czas, w którym miał być u niej.

Zaczął się ubierać i układać jednocześnie cały sposób zachowania się względem niej. Wreszcie pojechał.

— Dziś — albo nigdy. Dość tej komedji — powiedział, dzwoniąc do jej mieszkania.

Przyjęła go prawie że w negliżu, przyjęła tak, jak to czynią w godzinach zamówionych przez swoich adoratorów kobiety, gragnące negliżem swoim podnieść swe wdzięki.

Odrzucała go wzięła.

I te jej błyszczące ciemne oczy, jakiegoś wiecznego pożądania pełne.

I ten głęboki dekolt aż po połowę piersi białych, jak alabaster.

I ten uśmiech stale fascynujący.

— Tak mi się dzisiaj nie chce grać, panie Adamie — spojrzała na niego przedziagle, jakby wyczekując pieszczot, gdy znaleźli się oboje w salonie. — Może mi pan daruje lekcję, cudowny mój nauczycielu?

— W takim razie...

— W takim razie przejdziemy do buduaru na pogawędkę.

Wiedział, co to znaczy. Na takie pogawędki chodzili zawsze do buduaru po lekcjach.

Tam wprowadzała go zawsze Orska, świadoma tego, że każdy buduar kobiecy inaczej oddziałowywa na mężczyznę, niż jakkolwiek inny pokój.

A buduar miała urządzonej w stylu wschodnim. Makiety, dywany, niskie pufy, szerokie niskie łóżko, otomana, zarzucona poduszkami; wszystko to spowinięte w półmrok sprawiało wrażenie egzotyizmu.

Jej negliż dziś był dostosowany do tego egzotyizmu. Turecki szlafroczek z miękkiego jedwabiu otulał kibić wiotką, gibką, sandały złote na nóżkach nawet woń perfum mocnych przypominał kraj wschodni.

— Wygląda pani, jak cud haremowy — powiedział, kiedy usiedli obok siebie na otomanie.

— Apan, jak książę, odwiedzający jedną ze swych niewolnic.

— Szkoda, że tylko możemy to brać w przenośni. Nie jest pani moją niewolnicą, a ja jej władcą.

— Ale chciałby pan być?

— Pani pyta o to? Czyż pani nie wie, jak mi grasz na nerwach, jak dręczysz niewiedząco czemu.

Ach! Wy byście chcieli, aby kobieta zaraz, natychmiast uległa wam. Nie pojmujecie całej poezji w obcowaniu...

— Niema poezji bez rzeczywistości. Dlatego postanowiłem przerwać te lekcje nie muzyki, a...

— No, no proszę tak nie mówić — przysunęła się ku niemu.

Patrzył na nią, obejmując namiętnie spojrzeniem. Łakomie biegał oczyma po jej kształtach i powstrzymywał się, nie wiedząc sam dlaczego, aby jej nie porwać w objęcia.

— Twoje igraszki prowadzą mnie wprost do szaleństwa — szepnął drżącym głosem i pochylił się nad jej twarzyczką wpółobruconą ku niemu.

— Do szaleństwa — powiedziała rozkosznie — czyż to nie miłe?

— To, co męczy, nie może być miłym.

— Alboż miłość nie jest udręką w rzeczywistości?

— Nie, nie jest.

Prowadzili rozmowę głosem, przechodzącym w szept, prowadzili dłuższą chwilę, podniecając się wzajemnie swą własną obecnością, nakoniec ona pierwsza objęła jego głowę ramionami i przywarła w pocałunku do ust. Wówczas Zabięto porwał ją wpół.

Nim zdołała myśli zebrać, zdobyć się jak zwykle na protest, poczuła czar w całym ciele, ogarniającą ją rozkosz.

Zupełnie wyczerpana zamilkła, zdając się na jego łaskę i niełaskę, na jego wolę, a on wciąż ją trzymał w ramionach.

Patrzył na nią ze znanstwem piękna kobiecego, na jej delikatną twarzyczkę okoloną rudymi lokami na przymknięte oczy, ocienione długimi rzęsami, na obnażone ramiona i piersi, które się lekko unosiły.

IX.

U małych stóp Neteczki siedział na podnóżku Malanowski i wpatruje się w wilekie jej, jak toń niebieskie oczy.

Ona się lekko uśmiecha do niego, mruży oczy z kokieteryją.

— Pan swoje, a ja swoje.

— Bo pani jest uparta.

— Nie, nie jestem uparta.

— Jest pani uparta. Moglibyśmy się pobrać i być szczęśliwi.

— Pan i małżeństwo! Pan i — miłość.

— Ależ dlaczego mnie pani odpycha?

— Panie Jerzy, za wiele pan hulał i hula zresztą. To widać po panu. Cóż pan chce dać kobiecie? Strzępy uczuć?

Malanowski zamyślił się.

Bolska miała słuszość. Był przeżyty. W tajemnicy głębokiej przed swymi przyjaciółmi, przed hrabią Tolem bywał u Bolskiej i starał się o jej względy. Czyni to dyskretnie, aby mu nie przeszkadzano, nie płatano przez ploteczki jakichś figlów, nie wyśmiewano się wreszcie z jego zamiarów. Rzeczywiście prowa-

dził hulaszczę życie z Dubiskim, chciał jednak ratować resztki swego zdrowia w małżeństwie. Zabiegał o względy pięknej Augusty, nakoniec doszło między nimi do stanowczej rozmowy i — z jej strony do odmowy.

— Droga pani Neto — skazuje mnie pani na dalsze kawalerstwo, które, tyle razy mówiłem — uprzykrzyło mi się.

— Czyż mało jest kobiet, panie Jurku, poza mną? Nie przeczę, jest pan miłym, sympatycznym, bardzo przeze mnie lubianym, ale — nie jest pan moim typem. Nie przeczę, chcę wyjść za mąż — ale nie za pana.

— Wolno wiedzieć za kogo?

Bolska namyślała się.

— Nie mam nikogo specjalnie na myśli, na nikogo specjalnie nie zwróciłam uwagi — kłamała rozmyślnie, oddawna bowiem kochała się potajemnie w Zabielle.

Z tą miłością swoją nie zdradzała się zupełnie ani przed nim, ani przed nikim. I Zabiello nawet nie domyślał się, że ma w niej gorącą wielbicielek.

Kochała w skrytości czystym szlachetnym uczuciem, ceniąc w młodym artyście wielki talent, piękno, poezję.

Nie była zgoła podobną ani do Orskiej, ani do Daleckiej — raczej w uczuciach przypominała Steinową, Malanowski nie mógł jej imponować i niczem nie imponował.

W sądach o Boskiej myliła się Dalecka. Neteczka

daleką była od wielkiej zmysłowości. Żywa, wesoła, młoda stosunkowo na wdówkę, lat trzydziestu posądzona była tylko o nieustanne romanse, których w rzeczywistości nie prowadziła jak Miusia, Bisia, albo Zosia. W miłości nie widziała żadnej przyjemności. Wyglądająca z pozoru na zmysłową, wcale nią nie była. Miała inne wyobrażenia o życiu, niż jej przyjaciółki, chociaż im nigdy nie przeczyła, nie chciała różnić się w zdaniu o — dla harmonijnych stosunków towarzyskich.

Piękność jej podbiła starego donżuana, jakim był Malanowski. Żartował sobie z jej cnoty z hr. Tolem, co innego jednak myślał, bywając często, poznając ją bliżej.

— Więc nikogo nie ma pani na względzie, pani Neteczko?

— A gdybym nawet miała — ten ktoś jest odemnie bardzo daleko.

— Zatem jest ktoś?

— Ludzie inaczej może mnie sądzą, niż jest w rzeczywistości. Wiem co to jest wielka miłość, bo kochałam męża a on mnie i tęsknię panie Jerzy za tą miłością. Czy ją osiągnę — wątpię. Takich ludzi jakim był mąż mój rzadko się spotyka. Toteż nie kwapię się, nie staram o pozyskanie miłości u tych, którzy, kto wie, możeby mi ją dali.

Mówiła to z pewną melancholją, smutkiem i poraz pierwszy przedstawiła się Malanowskiemu w innym świetle niż dotychczas. Miał ją za kobietę lekką, płochą, sądził tak jak Mniusia. Jakże pozory

mylą. Tem więcej żałował, że nie chce zostać jego żoną.

To co myślał o niej w tej chwili, powiedział jej szczerze.

— Mam dla pani wielki szacunek — dodał — żałuję bardzo, że pani nie może zostać moją żoną. Prawda, nie przeczę, należę do mężczyzn, których zowią hulakami. Nie jestem jednak wyjątkiem, jak nie jest nim hr. Tolo. Mamy dużo czasu i dużo pieniędzy. Ale — szczerze za szczerze — obu nam się nieco to nasze życie uprzykrzyło.

— Nieco — roześmiała się. — Po co wam obydwu małżeństwo?

— Nie jesteście tacy młodzi, stać was na ładne, nawet bardzo ładne metresy, które zapewne macie — trzeba było wcześniej pomyśleć o żonach. Zresztą powiedziałam panu, panie Jerzy, kobiet ładnych, młodych nie brak. Nie jest dziś dla mnie tajemnicą, ani dla nikogo, że Castor bywa u Daleckiej i napewno także w poważniejszych zamiarach. Czy jednak pan myśli — Dalecka wyszłaby za hrabiego? Bardzo wątpię, zwłaszcza ona — tak lubiąca swobodę.

Malanowski przyznał jej słusność.

— Obaj nie mamy zdaje się szczęścia u was — cóż robić.

— Bo co to za pomysły? I skąd się wzięły? Flirt? Dobrze. Ale wy — i małżeństwo — śmiała się. — Dajcie pokój — przynajmniej jeśli o nas chodzi.

— Ale pani się nie gniewa?

— O co? Zbyt dobrze i zbyt dawno znamy się.

Nie przypuszczam, aby moja odmowa miała w czemkolwiek nadwyżyć nasze dobre dotychczasowe stosunki.

— Nigdy, pani Neta — pocałował ją w rękę.

— Zapomnijmy więc o naszej rozmowie i przejdźmy do pikniku, który postanowiłam urządzić u siebie na wsi. Chcę go połączyć z polowaniem — wszak to jesień. — Niechże mi pan doradzi, jak to urządzić.

I rozpoczęli szczegółowo omawiać zabawę, polowanie, które miało się odbyć w niewielkich dobrach Bolskiej, znajdujących się zaledwie parę mil od Warszawy.

Układali listę gości — pań i panów, menu, czas wyjazdu... Malanowski, lubujący się w takich przyjęciach, zapomniiał o danym mu koszu i dawał rady z wielkiem zajęciem. A kiedy już wszystko było ułożone, zabawił jeszcze chwilkę, poczem udał się do klubu.

Pani Neta po jego wyjściu, zostawszy sama w salonie znów zamyśliła się.

Rzeczywiście — ten Malanowski... z oświadczeniami... co mu do głowy przyszło. Bogaty, miły, sympatyczny — prawda, ale to nie Zabiełło. I pani Neta widzi wyraźnie sylwetkę młodego artysty z kędzierzawymi włosami blond, z dużemi, szaremi oczyma, w których przebiegało tyle ognia, tyle temperamentu.

Był dla niej taki zawsze obojętny, nie wiedział o uczuciach, które rozbudził. Czyż mogła pierwsza dać mu poznać, że ją zajął?

Co by sobie o niej pomyślał?

Ach te wstrętne serce ludzkie, wlecze w młodości dopominające się swych praw! Te uczucia nieustannie niepokojące....

Samotność ciążyła jej niewymownie. Nie mogła przyzwyczaić się do niej po śmierci męża. Trzeci rok najpierw cierpień, potem cichego smutku, nakoniec tęsknoty znów za miłością wyższą, piękną, pełną szlachetnych porywów. Taką była miłość Bolskiego. Dałże by ją Małanowski? Czy dałby Zabięto? Nie mogła nawet na to odpowiedzieć. Przecież tego człowieka prawie nie знаła. Coś — niewytłomaczonego dla niej samej pchało ją w jego ramiona, nie wchodząc w to, czy znała go, czy nie znała. Coś niewytłomaczonego dla niej samej...

Rozmarzała się muzykiem i jeszcze większą uczuła pustkę w koło siebie, włączając się nieustannie po apartamencie.

I gdyby chociaż kogoś miała z bliższej rodziny. Nikogo. Z dalszą nie komunikowała się zupełnie.

Czy będzie mogła nadal prowadzić takie życie?

To zawsze ją denerwowało.

No bo cóż — miała dopiero dwadzieścia osiem lat, była więc w najpiękniejszym rozkwicie kobiecym.

Jeżeli z Zabięłą nie dojdzie do porozumienia, będzie musiała coś postanowić, jakoś ułożyć sobie przyszłość.

Bez mężczyzny źle jest — powiedziała sobie — bez mężczyzny źle jest, jej przynajmniej. Takie życie nie wystarcza. Kochanek? Ach, mogła ich mieć, ileby

zechciała, ale miłostka — coś przelotnego — nie miała dla niej powabu.

A tymczasem rozbudzona natura dopominała się o swoje prawa, dopominała coraz gwałtowniej.

Stąd ta nerwowość, ten niepokój, zupełnie niczem innym nie wytłomaczony, te sny nieraz wyuzdane...

Może są kobiety innego usposobienia, ale ona tak samo nieomal impulsywana jak Mniunniu, albo Orska. Tamte niewątpliwie miały kochanków. Kogo? Kogo mogła mieć Dalecka — Kańskiego? Orska...

I mimowoli przypomniawszy sobie taksatorskie spojrzenia barona Steina, lubieżne, kierowane do Orskiej.

Jego kochanką napewno nie jest, a może...

Któż tam wie, jak stoi w interesach? Może baron płaci te kosztowne suknie?

Rozmyślając o sobie i swoich przyjaciółkach, o Zabielle i oświadczykach Małanowskiego, przebrała się i pojechała do Daleckiej prosić ją na piknik.

Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała têtę a têtę Mniunniusię z Zabięłą.

Artysta przyszedł, jak zwykle to czynił od szeregu już dni, układać statut stypendjów, a właściwie na flirt, który, pomimo romansu z Orską, prowadził w szybkim tempie z coraz słabiej opierającą się Mniunniusią.

— Układamy z panem Zabięłą statut stypendjów — tłumaczyła Dalecka wizytę artysty poza dniem zwykłych swoich przyjęć. I tak samo jak przed Orską

szeroko rozwodziła się nad swoim projektem fundacji.

Ale Bolska nie wierzyła, aby owe stypendja były jedynym celem wizyt Zabielli. Wywnioskowała od razu z dość swobodnej toalety Mniumnusi i również z dość swobodnego zachowania się Zabielli, że fundacja jest tu tylko parawanikiem do flirtu, a może romansu.

Zatem bywanie hrabiego Tola nie miało głębszego znaczenia. Zabiello albo jest, albo będzie kochankiem Daleckiej.

Bolska utkwiała smutne, ciepłe spojrzenie w mówiącym o ważności stypendjów artyście, spojrzenie wiele mówiące.

Odczuł je i poraz pierwszy zwrócił uwagę na Neteczkę. Widział w niej zawsze piękny typ kobiecy, teraz z tym swoim smutnym, serdecznym spojrzeniem wydała mu się jeszcze piękniejszą.

Wysłuchiwała uważnie całego projektu, zainteresowała się nim i rzekła:

— Dlaczegoż mam być gorszą od ciebie, moja Mniumnusiu. Stać i mnie na ufundowanie stypendjum.

— Doprawdy — chciałyby i pani? — spytał zdziwiony Zabiello.

— Zachęciłście mnie całym projektem, tylko że ja to inaczej ujmę i również będę pana prosić, aby był łaskaw zająć się tą sprawą.

— Już z góry dziękuję pani w imieniu muzyków. Uśmiechnęła się.

— Niema pan za co dziękować. Przecież coś trzeba dla nich robić. I robiłoby się może nieraz, gdyby znalazł się ktoś taki, poddał inicjatywę, zachęcił. I ja nie należę do egoistek — patrzyła uporczywie na Zabiellę, a pan zapewne myślał o mnie co innego.

— Ale skądże znowu, skądże znowu.

— Na serjo wstępujesz w moje ślady? — z lekkim zdumieniem spytała Dalecka. Nie pojmowała w jakim właśnie celu Bolska chce stypendjum fundować. Ona — co innego. Rzuciła sporo grosza, ale dla tego, aby zdobyć Zabiellę. Przecież chyba nie chce z nią Bolska rywalizować.

Propozycja Neteczki nie była dla niej przyjemną, lecz udawała zachwyconą, nawet ucałowała Borską.

— I mówią, że kobiety dzisiejsze są złe, egoistki, że nic nie chcą poświęcić dla innych — mówił Zabiello w pół serjo w pół ironicznie, wiedząc dobrze o co chodziło Daleckiej...

Zastanowiła go jednak Bolska. Niebardzo wierzył w to, aby nią jedynie kierował altruizm, co jednak kierować mogło? Czy także chęć zbliżenia się z nim? Czy znów chęć zawarcia przelotnej dłuższej lub krótszej miłości?

Bolska nie wiedziała sama jeszcze jakie to ma być stypendjum, dla kogo, ale w głębi duszy cieszyła się, że raptem powstała u niej ta myśl, ta chęć fundacji. To jej pozwalało zbliżyć się z Zabiellą. Może właśnie na tej drodze pojmie jej ciche, skryte uczucia, odsunie się od Daleckiej? Może ta sama droga, któ-

ra wybrała Mniurniu, aby bałamucić artystę — ją zaprowadzi do upragnionego celu, zostania żoną Zabieli? Nagle wpadła w doskonały humor, przeszła nad stypendjum do innej kwestji, dla której przybyła do Daleckiej. — Zaczęła o pikniku, zapraszając i Mniurniu i Zabiellę, opowiedziała cały plan ułożony z Małanowskim, mówiła dużo o polowaniu.

Mieli już we troje zasiąść do herbatki wieczorowej, kiedy służący zaanonsował hr. Tola.

Wszedł, niechętnie witając zbytecznych gości, zwłaszcza Zabiellę. — Chciał być sam na sam z Mniurniu, która także była bez humoru, że jej przerwano miło rozkoszne sam na sam z „Adasiem”.

Hrabia Tolo śmiał się z fundacji, które miały powstać.

— Talent — mówił — sam się wybije bez stypendjów. Stypendja mogą być przyznawane jakimś miernotom. To jest wogóle mało interesujące, więcej interesuje mnie pkinik, na który przez panią zostałem zaproszony.

Obie panie i Zabiello zaczęły gwałtownie bronić swoich zamierzeń, chwalić, że stypendja są koniecznością, że są w każdym kraju, że nieraz biedna młodzież nie ma się za co kształcić, a później kraj traci na tem bardzo dużo.

Hrabia Tolo nie dał się przekonać. On by nigdy żadnego stypendjum nie ufundował. To rzecz społeczeństwa, a nie jednostek, rzecz instytucji komunalnych, ministerstw odpowiednich.

Bolska chciała mu już powiedzieć, że te wszyst-

kie pieniądze, które przegrywa w klubie, albo wydaje na kobiety, mogłyby utworzyć cały szereg stypendjów, ale dała pokój. Aż nadto dobrze знаła Dubiskiego i wiedziała, że przekonywać go — rzecz próżna.

Zdobyła się natomiast na to Dalecka. Miała dosyć częstych wizyt hrabiego Tola. Ani żoną, ani kochanką jego nie zostałaby, takiego egoisty i hulaki.

— Czy pan co kiedy zrobił dla społeczeństwa — zaczęła i potem w ostrych słowach wytykała mu jego życie, jego chęci ożenienia się niewiedomo po co — na co.

Cierpkich uwag hrabia Tolo wysłuchiwał ze spokojem, a kiedy pozwoliła mu dojść do słowa powiedział dość przejrzyście:

— I cele publiczne mają także podłoże egoistyczne. W czysty altruizm nie wierzę i nie uwierzę nigdy, jedni czynią fundacje dla rozgłosu, inni, aby się wiekopomnie zapisać w historii narodu, inni, aby zrobić na złość rodzinie, a są i tacy, co mają swoje zupełnie już osobiste w tem interesy.

Spojrzał na Mniurniu i Zabiellę.

— Co pan przez to chce powiedzieć — wyzwała go Mniurniu.

— Co? Naprzykład miłość ogromną, gwałtowną do artysty, coś á la Chopin i George Sand.

Dalecka roześmiała się w głos, chcąc pokryć śmiechem zakłopotanie swoje, Zabiello złośliwie się uśmiechał kącikami ust, a Bolska rzekła:

— Gdyby nawet i tak było — dobry uczynek pozostanie nim zawsze.

XI.

Orska zupełnie nie żałowała, że została kochanką Steina. Bywał u niej rzadko, a choć wtedy zamęczał ją, będąc z natury cynikiem i człowiekiem wyuzdanym, przecież płacił, płacił wszystkie wybryki, wszystkie zachcianki. Ubierała się też coraz kosztowniej, coraz więcej skupowała precjozów, mając w tem olbrzymie zadowolenie.

Rychło też piękna Zonia ochłonęła dla Zabięty a potem, choć Stein był starszy, okazał się dla niej jednak bardziej odpowiednim, tak już była zepsutą przez miłości.

Ochłonawszy, postanowiła przerwać lekcje. Nie były już jej potrzebne, jak nie był potrzebny Zabięty.

Była godzina trzecia, pora, w której muzyk przychodził. Czekala właśnie na niego, aby się z nim rozmówić.

Kiedy artysta wszedł, odrazu zauważył w jej obejściu inny ton, niż dotychczasowy, ton uprzejmy, z lekką serdecznością, ale na ogół chłodny.

— Czuję się jakaś niezładowa — powiedziała —

kiedy usiedli już nie w buduarze, jak to bywało dotąd, a w saloniku. Czuję się jakaś nie swoja i dlatego...

— Radziłbym przerwać „lekcje” — podkreślił, ani jednej bowiem ostatnio nie było. Bardzo jestem zajęty w ostatnich czasach i nie mógłbym nadal...

— Tak. Wiem. Koncert pochłania.

Unikali oboje słów „pan”, „pani”, ale nie mówili sobie również „ty” jak w chwilach ekstazy i porywów miłosnych. Nie czyniono żadnych aluzji do przeszłości, która, wiedzieli oboje, minęła dla nich bezpowrotnie. Nawet Zabięty był z tego zupełnie zadowolony, mając na myśli teraz Daleką i Bolską. Zręcznie skierowana rozmowa na koncert zajęła obojgu nieco czasu, poczem Zabięty dużo mówił o stypendjach.

Orska udawała, że ją to ogromnie zajmuje.

— Więc i Bolska i Daleka? Bolska poszła w ślady Dalekiej. Powinszować sukcesów.

— Komu?

— No... panu — odważyła się nareszcie powiedzieć „pan”.

— Mnie? Inicjatywa nie wyszła odemnie, lecz od pani Dalekiej.

Orska uśmiechnęła się z lekką ironią.

— A ja sądziłam, że od pana — skłamała, bo wiedziała doskonale, kto był inicjatorem, a domyślała się dlaczego.

Te stypendja a jej „lekcje” czyż nie były sobie

pokrewne? I poco było tym kobietom tyle wydawać pieniędzy, aby rzucić się przedewszystkiem w ramiona Zabięły — dziwiła się — nie widząc w artyście nic tak znów nadzwyczajnego, gdy chodziło o niego jako o kochanka. Tyle że był młody, zdrowy, silny i dość subtelny w obejściu — ale nie dawał znów takiej sumy rozkoszy, aby fundować aż stypendja!

— Zatem, ledwo pan skończy z jednym statutem — czeka już drugi. Ha, obydwie są bogate, bardzo nawet bogate — mogą sobie pozwolić na podobne postawienie kwestji — podkreśliła. No i same będą miały duże zadowolenie ze spełnienia dobrego uczynku — ironizowała lekko, co nie uszło uwagi artysty.

Ale nie dał tego poznać.

— Ludzie bogaci u nas za mało czynią dla sztuki. Dobrze że się czasem znajdują jednostki. Nie wchodzę w pobudki istotne, bo ich nie znam.

— Nie zna pan?

— Ściśle biorąc — nie.

— To dziwne. Baronowa zawsze energicznie zajmuje się każdym pańskim koncertem, no a Bolska z Dalecką fundują stypendja. Wszystko to dowodzi tej wielkiej sympatji, jaką pan ma u nas kobiet.

— Czy to źle, pani Zofjo? Czy nie prowadzi to do miłych chwil czasami, choć „przelotnych”, podkreślił.

— Miłych choć przelotnych — no tak — prawda — przelotnych i bezpowrotnych — powiedziała — coś poprawiając niby to przy sukni, aby nie patrzeć na Zabięłą. — I kiedyż koncert? — podjęła znów.

— Jeszcze termin ściśle nie jest oznaczony.

Chciała go zatrzymać na herbatce, kiedy się żegnał, ale Zabięło przeprosił ją i — pożegnał.

— Lecz przyjaciółmi zostajemy nadal — już powiedziała mu wyraźniej, że wszystko pomiędzy nimi skończone.

Zawsze, piękna pani Zofjo. Nie lubię ani tragedji, ani dramatów z tego, co niemi nie powinno być. W życiu ma wszystko zawsze swój początek i koniec. I uczucia mijają, przecież to nie wyklucza wzajemnego szacunku i — dyskrecji. Pocałował ją kilkakrotnie w rękę i — wyszedł.

— A jednak on jest miły, dystygowany i rozumny chłopiec — pomyślała po jego wyjściu.

Rzeczywiście po co zaraz jakieś wstrząsy, wzajemne wypominki, nieporozumienia, jeśli chodzi o wzajemny stosunek pomiędzy kobietą i mężczyzną — poco — na co? A są kobiety, które niepotrzebnie szaleją. W zazdrości, w miłości dochodzą do zenitu, zabijają się. A trzeba umieć spokojnie zakończyć. To samo chce uczynić i Dalecka i Bolska. Polują na Adama tak samo jak ona, doprowadzają do romansu i rozmyślają się, jeżeli chodzi o fundacje, bo im te stypendja nie są zupełnie potrzebne. Dla niej było to zupełnie jasne. Albo Zabięło tego nie rozumie, albo udaje, że nie rozumie. Niewątpliwie udaje. I kto wie nawet, czy już nie ma romansu z Dalecką?

Tak łatwo rozeszli się oboje. Ani go to zdziwiła,

ani przynębiło — czyżby sam dążył do tego, by z nią zerwać? Może.

Musiał mieć jej również dosyć.

Ta myśl była dla Orskiej nieprzyjemna. Kobieta wtedy jest zadowolona, kiedy wie, że mężczyzna nigdy nie ma jej dosyć, gdy ona może mieć.

Jeżeli miał jej dosyć, to naturalnie winna temu była Dalecka. Prostu odbiła jej Zabiellę. Skwapliwie też skorzystał z możliwości zerwania z nią.

Teraz Orska była ciekawa jak długo i czy potrwa romans Zabielli z Dalecką, a jeszcze ciekawsza, która z nich więcej na niego czyniła wrażenia, która z nich miała większe wartości na kochankę.

Wiedziała, że tej ciekawości nie zaspokoi. Dykretny — jak się wyraził — gdy chodziło o stosunek z nią, będzie dykretnym również i na punkcie innych kobiet. Nigdy się z niczem nie zdradzi, nigdy nic takiego nie powie, coby choć jakąskolwiek aluzją było do jego miłości czy miłostki.

Widać hr. Tolo przynajmniej na razie nie może liczyć na Dalecką. Niemądra. Bogaty człowiek, a że przeżyty — cóż z tego, że hulaka — stać go na to. Gdyby się o nią starał, wyszłaby za niego bez namysłu. Ale Dubiski jest rachunkowy. On wie, że Dalecka jest bogata, że wniosłaby mu ogromny posag. I miałby rzeczywiście ładną żonę — ona tytuł i jeszcze większy majątek.

Niemądra.

A może poromansuje z Zabiellą, a dopiero później wyjdzie za hr. Tolo? I to jest możliwe, jeżeli go

nie zrazi zupełnie do siebie i jeśli hrabia nie odsunie się.

Choć to na Dubiskiego nie patrzy. Podobno należy do tych ludzi, którzy, jak Stein, nie łatwo dają się odsunąć od kobiety.

Stein...

Ach ten Stein...

Ktoby to pomyślał, że ona tak szybko zostanie jego kochanką!

Co to znaczą pieniądze i łatwość wydawania ich!

Co to znaczą pieniądze!

Jakże musi być szalenie bogaty, skoro nic sobie nie robi z jej wydatków.

Ona musi te wydatki podwoić, potroić — bo kto wie, jak długo jego miłość znów trwać będzie. Może Stein pierwszego pięknego poranku pożegnać się z nią i wtedy — urwie się wszystko.

Więc — więc trzeba korzystać, trzeba korzystać jaknajwięcej!

Zaczęła się zastanawiać jakie mogłaby sobie kupić futra na zapas.

Jesień prędko się skończy, nadejdzie zima...

Ma wprawdzie futra, nie zaszkodzi mieć po za fokami i karakulami, szenszyle, małpy.

Całe popołudnie przeglądała swoją garderobę.

X.

— Jakże szybko nastąpił u niej przesyt miłości — myślał Zabiełło o Orskiej. Niewątpliwie ma kogoś. A ja byłem sobie ot zachcianką chwilową.

Odpoczywał po tylko co przegranych etiudach i oce-
niał piękną panią Zofję, oraz cały ich stosunek.

Nie była ciekawszą od Steinowej. Więcej na-
miętną? I to nie. Bardziej zepsutą? Niewątpliwie.
Ale przyznawał, że była ładną, bardzo ładnie zbudowa-
ną, że posiadała dużo ognia, dużo temperamentu
i pod tym względem różniła się od Steinowej więcej
zmysłowej, skłonniejszej do pieśnyczot, pocałunków i uś-
cisków. Orska więcej przypominała mu Daleką, ani-
żeli Steinową, teraz był ciekawy, jak się dalej będzie
rozвивać rozpoczęty z Mniumniusią romans. Przypomr-
nał sobie te pocałunki dawane i oddawane.

„Jesteś pan niebezpiecznym, jesteś pan bałamutem”
— tak mu powiedziała.

I zgoła nie żenowała się, ani całować go, ani ścisnąć
się z nim.

Ha — są kobiety, które kładą w to całe swoje
życie, w kult miłości i strojów, w kult zabawy i bry-

lantów, są kobiety płochę, lekkomyślne, które raz na-
wiązawszy kontakt z amorem, już nie mają sił odsu-
nąć go od siebie. Takie sprawiały na nim wrażenie i Or-
ska i Dalecka i Steinowa — a Bolska?

Nie znał jej, właściwie nie znał. Czyżby to był typ
kobiety, która kierowała się pozorami w życiu? Inną
była w rzeczywistości, a inną w tym środowisku w któ-
rem się obracała?

Niepokoili go w tej chwili te jej duże niebieskie
oczy, piękny, wydatny biust, który jednak nie raził przy-
dość wysokim jak na kobietę wzroście.

Świetnie zbudowana i — miła, no i bogata.

Co jej przyszło do głowy z temi stypendjami?
Dlaczego chce rywalizować z Daleką? Skądże ten
altruizm.

Tak...

Nie ulegało dla niego najmniejszej wątpliwości,
że pod tym altruizmem coś się kryło — ale co? Mia-
łażby to być także wędka na niego, jak owe lekcje,
albo owe stypendja Daleckiej? Więc jeszcze czwarta?
roześmiał się.

Jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Jeszcze czwarta?

Co te kobiety we mnie widzą? Czego chcą
odemnie?

Talent? Zapewne. Przyszłość?

Któż umie zbadać kobiety?

Rządzą się chimerami, chwilą, zachcianką afek-
tacją przelotną jak Orska, szukają zmian, wrażeń jak
Dalecka, albo po minionych uczuciach, uczuciach bez-

powrotnych, znudzone monotonią pożycia małżeńskiego, rzucają się w objęcia kochanków, jak Steinowa i tam szukają dla siebie może nie tyle nowatorstwa, ile sentymentalnego ukojenia dla serca, a jednocześnie zaspokojenia fizycznego w objęciach nie mężowskich. A wszystko to razem wzięwszy jest — takie codzienne, szare i boją się tylko pozory czegoś nowego.

Świat się w niczem nie zmienia, gdy chodzi o uczucia ludzkie. Nie zmienia się ani kobieta, ani mężczyzna, oboje szukają czegoś — czego? Zadowolenie? Jest ono tak samo nie do osiągnięcia w całej pełni, jak nie jest do osiągnięcia ideał.

Miłość?

Zabiełło uśmiechnął się ironicznie a zarazem smutno.

Miłość...

Co to jest miłość?

Oto miał dwie kobiety, jedną z nich ma wciąż, trzecia narzuca mu się, czwarta...

Ta czwarta nieodgadniona dla niego, niewątpliwie przestanie być w najbliższym czasie zagadką.

Miłość?

Albo inaczej: miłość — czy miłostki? Życie głębsze, jeśli chodzi o uczucia — lub tak sobie en passant — coś chwilowego...

Ale w takim razie trzeba przekreślić to, co stanowi o podstawach społeczeństwa. — rodzinę.

Problemat wysoce skomplikowany.

Bo jeżeli czasy powojenne przekreślą głębie uczuć,

potem przywiązanie, zostaje człowiek ściśle licząc zupełnie samotnym.

Bez wielkiej miłości, szczerzej, głębokiej, zostaje jednostka — i kobieta i mężczyzna — samotnym.

Związki chwilowe?

Głupstwo.

Nawet gdyby były usankcjonowane.

Bo co to jest związek chwilowo usankcjonowany?

To nic innego, tylko konkuninat, mający podstawy prawne na jakiś czas.

Dlaczego u nas w tej chwili dopominają się gwałtownie o śluby cywilne?

Jest to furtka do nadużyć tam, gdzie chodzi o myśli rodzinne.

Prosta, wyraźna furtka.

Gdzie niema surowych klauzul — upada wszystko, ponieważ ludzie nie zastanawiają się nad konsekwencjami własnego swego egoizmu, tylko idą ślepo w myśl jego pobudek. Wyciągnęli na wierzch swoje najbrudniejsze instynkty; męczyć drugich, znęcać się nad słabym, utrudniać życie na każdym kroku, widzieć tylko i jedynie pieniądze, jemu służyć, mieć własne zadowolenie, rzucać dla tego pieniądze, nawet duże, nawet wielkie, osiągać dla siebie wszystko, co jest możliwe, co się da.

Oto są dewizy, którym służą Orskie, Dalekie, Steinowe. A wobec tego, czyż można myśleć u nas o powadze społeczeństwa, o powadze kobiet, które, mając olbrzymie środki, żyją — tak często motylkowato?

Zabiełło miał różne myśli, jeżeli chodzi o kobie-

ty i o społeczeństwo, o stosunkach kobiet do społeczeństwa. I tylko jedna jedyna w tej chwili kobieta zatrzymywała jego myśl to — Bolska. Była dla niego jakąś inną. Był przekonany, że ta kobieta jest niepodobna, ani do Orskiej ani do Daleckiej, ale jej zdefiniować nie był w stanie.

I pozostawiał to przyszłości, mocno zaintrygowany jej postępowaniem.

Po długich rozmyślaniach nad Borską i Dalecką, pojechał do tej ostatniej na jedną z dalszych konferencji swych stypendjów.

XI.

Spodziewając się Zabięły, Mniurniu ubrała się z wyjątkową kokieterją.

Tym razem na niebiesko i nie w suknię, a w niezwykle kosztowne, koronkowe dessous i szlafroczek przybrany koronkami.

Chciała zdobyć Adama w zupełności.

Jak mnie zobaczy, oszaleje, zwarjuje chłopiec.

Przypominała sobie jak całował ją. Gdyby nie Orska, kto wie czyby jej już wówczas nie zdobył. A jeżeli do tego dojdzie, będzie miała dwu kochanków.

Decydowała się nie zrywać z Kańskim. Był jej potrzebny, prowadząc świetnie interesy.

Postanowiła jednocześnie zakończyć sprawę ze stypendjami. Niech już Zabięło z Kańskim doprowadzą resztę do końca, ona swojego dopięła.

I celu dopięła. Podczas wizyty artysty ani mowy nie było o jakichś stypendjach. Kokietowała tak zawzięcie Zabięłą, tak się przymilała, tak dyskretnie ukazywała mu swoje wdzięki, że istotnie oszalał, zwarjował.

Podziałało na niego wszystko i buduar i mokka i jej piękno.

Rozigrała się burzliwie pomiędzy nimi fala powrotna gorących pocałunków, rozpętała namiętność i porwała go z taką siłą, o jakiej Mniurniu marzyła, sama poddając się niewysłowionej rozkoszy, która ją rzucała w jego ramiona.

Swoją gwałtownością, nienasyceniem wprawiał ją w zachwyt, w jakieś przedziwne uwielbienie. W najwyższej ekstazie całowała go gwałtowniej jeszcze niż on ją, upajała się każdym jego namiętniejszym uściskiem.

I coraz była bierniejszą...

I co raz cichszą...

I co raz więcej mu poddańczą.

I co raz więcej oddaną mu.

On usiadł koło niej i, uśmiechając się, pieścił, lekko przesuując dłoń po cudownych jej kształtach.

Milczał jak i ona. Wpatrywał się w zgorączkowane oblicze, w przymknięte oczy, ocienione brwiami, w ledwo rozchylające się do uśmiechu usta, na których jeszcze drżały wspomnienia pocałunków.

Bezwładna, rzucała na Zabiellę całą urodę swojego piękna.

— Jesteś boską — szepnął.

Rozchyliła usta w uśmiechu.

— Jesteś niewysłownie rozkoszną. Jesteś podobna do bajecznej róży o silnym, mocnym odurzającym zapachu. Jesteś jak to słońce lipcowe, pod promieniami którego więdnie kwiecie. Słuchała roz-

marzonego namiętnością, jej pięknem artysty, słuchała jak najszlachetniejszej melodji, anielskich tonów, a on — szeptał jej najczulsze wyrazy, najpięszcoteliusze słowa.

— Kocham cię Ad — odpowiadała mu szeptem bardzo dosłyszalnym — kocham się.

Czas upływał, a z nim upojenie. Rozkosz, rozmarzenie zastąpiła refleksja.

Myśli przychodziły do ładu, do porządku.

Porywy namiętne, gwałtowne zaczęła zastępować proza, nam codzienna, zwykła proza.

Po wargach Zabielly przeleciał lekki uśmiech ironiczny. Wpatrywał się w Mniurniu z coraz to mniejszym zachwytem, słowa pieszczoty zastąpiło milczenie.

— O cóż chodziło kobiecie? — O nic więcej — tylko o to, aby został jej kochankiem. Stypendja? Jakiś tam altruizm? Czyż to nie było komedją, taką samą jak lekcje Orskiej? I ona pragnęła tylko zaspokoić swoje zmysły w jego objęciach. A kiedy znudził się jej — zerwała stosunek. Czy ta śliczna kobieta, leżąca w tej chwili na szkarłatnych poduszkach nie jest taką samą jak tamta? Czy nie zwabiła go ona podstępnie, udając coś lepszego, wyższego jedynie w celu ukojenia swego popędu?

To nie ulegało najmniejszej wątpliwości teraz dla Zabielly. Jakaż wartość moralna takich kobiet?

Raptem Zabiello dość szorstko powstał, zapalił papierosa i poszedł do okna.

A kimże on był w rękach tych kobiet? Jakąs

marjonetką. Każda wyzyskiwała go na swój sposób, a wszystkie dla jednego jedyne go celu, aby samą zadowolić. I mimowoli myślami zwrócił się do jeszcze jednej, do — Bolskiej, która także obmyśliła stypendja. Nie wątpił, że po Orskiej, Daleckiej, Stejnowej, ułatwiającej mu życie — wzdygnął się na myśl o tem — i ta również chciała go tą drogą zwabić, potem oczarować i pokosztować upragnionej przez siebie słodyczy — romansu przelotnego, zachcianki, jak tamte trzy.

Ileż jest wiernych, zupełnie wiernych istot wśród kobiet bogatych, pustych i wiodących w pełni bezcelowe życie, jak wiedzie je taki Dulicki albo Melanowski. Ileż jest nędznych duszyczek...

— Chodź, pocałuj mnie Ada — usłyszał szept.

Nie ruszył się. Palł nerwowo papierosa.

— Adziu, słodki mój chłopcze — Mnuimniu pros, Mnumniu chce, abyś ją pocałował.

— Ale Adzia nie chce.

— Nie chce? — zdziwiła się — nie chce?

— I już nigdy nie będzie całował.

— Nigdy?

Rozwarła oczy, uniosła się, spojrzała na niego zdumiona, nie rozumiejąc skąd ten raptowny chłód.

— Nigdy!

— Dlaczego? — mierzyła jego sylwetę rysującą się wyraźnie pomiędzy kotarami okna.

— Bo lubię tylko odegrać raz komedję, ale dwa razy — nie. Gdybym był aktorem — umiałbym no i naturalnie na scenie, ale w życiu.

— Nie pojmuję — powiedziała, poprawiając nęgliż — nie pojmuję, co mówisz.

— Ach tak?

— Skąd ta cierpkość, skąd ten chłód, ta nieomal brutalność w tonie słów?

Odwrócił się do niej i spojrzał przenikliwie w jej oczy, przenikliwie i szyderczo.

— I z temi stypendjami też nie chcę mieć nic do czynienia.

— Jakto, dlaczego?

— Proszę przestać być dzieckiem — rzekł chłodno. Ja wiedziałem o co chodzi i ty wiedziałaś. Czy ci o jakie stypendja chodziło?

Roześmiał się.

Udawiała że nie rozumie.

— Myślisz, że taki jestem naiwny — kiwał ironicznie głową. — Mam ci dobitnie powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

— Doprawdy dziwnie się zachowujesz. I skądże naraz ta zmiana! Dopiero rozkoszowałeś się w moich objęciach, obrzucałeś najtkliwszymi słowy i — naraz.

— ...Wróciła mi przytomność, rozsądek, moja prawda istoty rzeczy.

— Jaka moja prawda istoty rzeczy?

— Może powiesz mi, piękna pani, jeszcze raz, że mnie kochasz — śmiał się szyderczo.

— Kocham cię.

— Na długo.

— Skądże to zwątpienie raptowne? Gdybym cię nie kochała Ada, nie pożądałbym cię, nie oddałbym

ci się, nie starała o to, abyś był moim kochankiem — wowała, nie wierząc w własne słowa, a natomiast zła, że ją rozumiał za nadto dobrze.

— Kochankiem? Hm... złudzenie. Żaden stosunek z kobietą nie uprawnia w niczem do tego określenia — „kochanek” albo — „kochanka”.

— Dlaczego jeden, dlaczego nie więcej — próbowała jeszcze utrwalić go w przekonaniu, że kierowała nią i kieruje prawdziwa miłość.

— Dlaczego nie więcej? Jakto, więc sądzisz, że nadal syciłbym twoje pożądania, twoje zmysły, jak innych kobiet, które mnie pragnęły, czy pragną? To się mylisz. Wziąłem cię, bo mi się tak podobało, bo ty mi się zresztą podobałaś jako piękne cacko, którym się można pobawić.

— Ależ to obraza! — zawołała prawie obrażona.

— Może być, ale jednocześnie — prawda. Nadal jednak między nami wszystko jest skończone.

Zerwała się z otomany, zmierzyla go spojrzeniem złem, zjadliwym.

— Jakto, on — on śmiał dawać jej odprawy w tak brutalny sposób — on — jej, która mu się co tylko oddała z taką pasją, z taką gwałtownością.

— Proszę nareszcie powiedzieć mi, co to wszystko znaczy? — rzuciła przez ząbki.

— To — że za stypendja — niby szlachetne, altruistyczne zamysły nie da się kupować sobie kochanków. Czy nareszcie zrozumiałaś? Oh — ty duszo odrazu miałaś nie to na myśli, a stosunek miłosny ze mną. Jakież to niskie!

— A pan na tę miłość dałeś się złapać?

— Nie, na pani wdzięki. Gdyby mi się pani nie podobała — i stypendja by nie pomogły. Nie chcę być jednak żywym aparatem do chłodzenia ognistych natur kobiecych — żegnam.

Ani spojrzał na nią, nie widział więc wściekłości, malującej się na jej twarzy.

Stała w pośrodku buduaru, drżąc z pasji oburzenia.

— Brutal — rzuciła mu.

Wyszedł, wzruszając ramionami.

Wtedy osunęła się na otomanę i — rozplakała się, rozplakała z beznadziejnej złości, z żalu, że oddała mu się, że ją poznał, że odkrył, że przeniknął.

— Jacyż ci mężczyźni podli! Jacyż nikczemni! — ach dobrze, że jej to powiedział. I miałaby teraz fundować jakieś stypendja? Po co, na co? W podnieceniu pobiegła do telefonu, jakgdyby ta sprawa była niecierpiąca zwłoki, zadzwoniła do Kańskiego.

— Dolfku... jeśli jeszcze suszysz sobie głowę nad statutem stypendjalnym — to lepiej wrzucić cały do kosza.

— ?

— Zaniechałam tej myśli.

— ?

— Bo widzisz — szkoda pieniędzy. A właśnie także stypendja funduje kto inny? Wiesz kto? Bolska. Dwa grzyby w barszczu — na co — prawda? Zgadzasz się? Mój drogi, przyjdź do mnie na herbatkę.

Położyła słuchawkę, uśmiechając się, gdyż po-

słyszała od Dolfka kilka cynicznych komplementów. Odkładając, powiedziała do siebie.

— Jednak Dolfek to co innego. Jestem jego kochanką, czy on moim kochankiem, ale jak prowadzi mi interesa. Coś przynajmniej mam pozytywnego. Oh Dolfek nigdyby się nie podsunął do takiej brutalności.

Wróciła do buduaru i znów położyła się na otomanie. Myślami pobiegła do Dubiskiego, do Malanowskiego, chciała wyjść za mąż, ale w jakim celu, poco? A zresztą ma jeszcze czas.

Dubiski ze swą koroną hrabiowską i nadszarpniętym zdrowiem, wydał się jej — kreaturą. Pieniądzy nie potrzebowała, tytułu również — jeśli już miałyby wyjść za mąż — to chyba za Dolfka. Ten lepiej prowadziłby interesa. Zająwszy się Kańskim, ani na chwilę nie wątpiła w to.

Kilka godzin wypoczynku zupełnie zniesie resztki znużenia po tym wstrętnym „grajku”.

Sięgnęła po czekoladki i jedząc, postanowiła nie ruszyć się z otomany, aż do przyjścia swego Dolfeczka.

XII.

W parę dni po zejściu z Dalecką, Zabiełto, którego wzburzyła Mniurniu i piękna Zosia, nieco się uspokoił. Grywał coraz więcej, coraz energiczniej przysposabiał się do koncertu i wciąż rozmyślał nad tem, że musi zerwać jednak i ze Steinową.

Ale jak to uczynić? Jak się uniezależnić finansowo? Koncerty? Cóż mu dać mogły? Nie był na tyle słynny jeszcze, aby mogły być dla niego wystarczalne.

Ożenić się? Ale z kim?

Na myśl przychodziły mu rozmarzone oczy Bolskiej.

Tak. Niewątpliwie — i — piękna i bogata i miła, ale czyby go chciała? Czy ona także jest podobna do Orskiej i Daleckiej? Czy stypendja, które zamierzała ufundować nie są znów tą samą siateczką, zastawioną na niego przez Mniurniu?

Zobaczmy! Prosiła go, aby się zajął tem — pojedzie. Jeżeli spostrzeże — o co właściwie chodzi „Necieczce”, to powie jej wyraźnie: „jeśli chcesz, mogę się z tobą ożenić, ale kochankiem — nie”.

I nie namyślając się długo — pojechał.

Od szeregu dni zastanawiał się nad Borską. Oh — ona inaczej jednak postępowała sama, niż tamte trzy. Ona mu się nigdy nie narzucała ani spojrzeniem, ani jednym słówkiem, a ponieważ te jej oczy tak były nie — raz wymowne, tak nieobojętne, tak patrzące głęboko, zadumane, zwłaszcza kiedy grał.

I przypomniał sobie kiedyś rozmowę z nią prowadzoną o pięknie w muzyce. Rozumiała je.

Znali się od paru lat. Bywał u niej, choć rzadko, ale bywał.

— Ha — kto nie ryzykuje nie ma nic — va banque — szepnął do siebie, zwolna wstępując na schody.

Po chwili mile był powitany, z radosnem zdziwieniem.

— Nareszcie pan się zjawił!

Ucałował jej rączki.

Uderzyła ją odrazu jakaś powaga Zabięty, jakiego skupienie w oczach, twarzy.

— Nie mogłem wcześniej. Likwiduję wszystkie swoje sprawy — skłamał, i po koncercie — wyjeżdżam.

Byli w salonie a la Louis XV.

Uczuł się tutaj jak zawsze — dobrze. Kochał komfort.

— Jaki — wyjeżdża — powiedziała przeciągle z lekkim drżeniem w głosie — dotąd — poco?

— Trzeba mi zagranicę pani Neteczko — trzeba dalej iść naprzód.

— A przecież, przecież obiecał mi pan zająć się sprawą stypendjów.

— Czyż koniecznie ja muszę się tem zająć? Przecież jest Stow. Muzyczne. Pocóż ja?

— Ale mnie chodziło właśnie, aby to i pańską było zasługą — spuściła oczy.

— A cóż pani na tem zależy? Tylko proszę o szczerość.

Uśmiechnęła się — i westchnęła.

— Kiedy szczerą nie zawsze być można.

— Dlaczego?

— Bo — bo niewiadomo jakby ta szczerość była przyjętą. Zresztą — zresztą pan — wymaga odemnie zawiele. I zdaje mi się, że z tym wyjazdem także szczerzy pan nie jest.

Zabięto milczał. Wpatrywał się w Borską, jakby ją chciał do dna duszy i serca przeniknąć, jakgdyby chciał poznać nawskroś jej myśli, jej uczucia.

— A gdyby tak było, jak pani mówi?

— To miałabym słuszne prawo żądać od pana także szczerości.

— Czy pani się nie zdziwi jeśli, no... powiedzmy do pewnego stopnia zaskoczyłaby panią czemś może nieoczekiwanem, może niespodziewanem, nie przeczuwanem nawet?

Drgnęła.

Czyżby? Czyżby to, o czem w skrytości duszy, serca myślała, zbliżało się naraz i rzeczywiście nieoczekiwanie!...

— Panie Adamie — rzekła po chwili miękko, ser-

decznie — od pana nie może mnie oczekiwać nic złego, przeciwnie — myślę wszystko dobre. Znamy się przecież dość dawno, a ja może znam pana lepiej niż pan przypuszcza. Byliśmy zawsze na stopie przyjaznej, choć nie serdecznej i nie poufalej. Jednak to szczerości zupełnie nie przeszkadza. Szczerość — za szczerość — spojrzała mu w oczy spokojnie, tuszując radość, wywoływaną przecuciem, że dowie się czegoś, czegoś, czego dawno pragnęła. Te jego oczy to samo jej mówiły.

Pocałował ją w obie ręce.

— Zatem — słucham.

— Dobrze — szczerość — za szczerość — zastrzegam się... Dawno się w pani Kocham.

— Pan — we mnie — sporzała na niego uważnie.

— W pani.

— Czy podobna, a ja myślałam, że...

Spojrzała się, spuściła oczy i nie dokończyła zdania.

— Ach mogła pani myśleć, co tylko chciała — a ja powtarzam raz jeszcze — dawno się w pani Kocham, tylko nie śmiałem tego pani powiedzieć — ja, jedynie człowiek z talentem no — z przyszłością. Wreszcie zdecydowałem się wyjawić pani swoje uczucia i prosić o zostanie moją żoną.

— Ależ panie Adamie, skrupuły pańskie były zbyt czyste. Ja... pana... także oddawna Kocham, nie mogłam przecież jednak swoich uczuć...

Rozpromieniony nie dał jej dokończyć. Podszedł,

ujął ją za ręce i począł obsypywać pocałunkami, całował całą szczęśliwą nad wyraz, że spełniają się jej ciche marzenia.

Więc on — on ta przyszła sława — będzie jej, jej mężem, ten piękny chłopiec, za którym szaleją kobiety — jej, tylko jej wyłącznie.

I pozwoliła się otoczyć ramieniem i wcałować się w usta, w oczy, szepcząc tylko:

— Ja się oddawna Ada kochałam, oddawna...

XIII.

— Zupełnie o mnie zapominasz, jesteś dla mnie coraz obojętniejszy, nigdy nie masz czasu! Ja przeklinam ten cały twój koncert, to twoje wyczerpanie, zdenerwowanie jakieś...

Słuchał ze spokojem człowieka pewego siebie, a baronowa unosząc się czyniła mu wyrzuty z coraz większą goryczą.

— Jesteś inny, och — jakże inny, niż byłeś. Ty nie jesteś już ten, co dawniej.

— To prawda — przyznał.

— Ty musisz mieć jeszcze inną kochankę.

— Nie, nie mam.

— To miałeś! Ty byłeś inny. Ty postępowałeś niezawodnie jak tacy Malanowscy albo Dubiscy!

— Miałeś kochanki, miałeś i dlatego mnie zaniedbywałeś! A ja, ja co dla ciebie robiłam! Aci — czego nie robiłam, byleś rósł w sławę, miał wygody i był szczęśliwy!

Zdenerwowana nie mogła usiedzieć na miejscu. Więc wstała i biegła po saloniku.

— Jaka zła, się domyśla — pomyślał w tej chwili Zabiello — jakaż interesowna, jaka.

— Dla mnie to robiłaś — czy dla siebie?

— Aby cię mieć — rzuciła ostro.

— Więc dla siebie!

Spostrzegła się, lecz zapóźno.

Zabiello śmiał się szyderczo.

— Dla siebie — Ha ha ha! A ja istotnie dawniej myślałem, że dla mnie, dla mego talentu.

— I dla ciebie i dla talentu — poprawiła się.

— Kładę to między bajki — kochana baronowo, sama się zdradziłaś, będąc nazbyt szczera.

— Ależ człowieku! Kobieta, która kocha dla ukochanego wszystko uczyni, wszystko.

— Przez własną miłość. Moja Bisiu — po co nam jałowa wymiana zdań, sprzeczki i spory niepotrzebne. Dziękuję ci za mecenasostwo — rzekł ironicznie i nadal nie będę z niego korzystał — mówię to stanowczo i bezwzględnie.

— Jakto? Dlaczego? — stropiła się, przeczuwając coś niedobrego dla siebie.

— Dlaczego? Dużoby o tem mówić. Niech ci wystarczy, że ci dziękuję. Nadal z kredytu w banku twego męża korzystać nie będę. To, co jestem winien zwrócić, bądź pewna.

— Z czego, zainteresowała się — z koncertu? — powiedział z ironją. Idzie bardzo dobrze, to prawda, ale żeby najlepiej poszedł — to jeszcze za mało na pokrycie całej należności.

— Pożyczę, a oddam słyszysz — podniósł głos aż się wylękał. — Nie chcę być kochankiem o-p-t-a-c-a-n-y-m rozumiesz nareszcie? Cóż ty myślałaś, że ja tego wszystkiego nie pojmowałem? Myślałaś, że ja byłem tak

głupi, iż twoje protekcje brałem za dowody twojej miłości dla mnie? Możesz ty lepsza od innych kobiet i może istotnie miałaś i masz dla coś głębszego dla mnie poza kojeniem zmysłów i pieszczotą, której tak zawsze pragniesz, ale i ty jesteś podobna do tych innych, skoro chciałaś mnie mieć dla siebie!

— Bo cię kocham — prawie krzyknęła.

— Zaraz się przekonamy, jak to ta miłość wygląda.

— Więc mówisz, że pragniesz dla mnie jaknajwiększego dobra?

— Jakto? Wątpisz w to?

— Nie, nie wątpię, tylko chciałem potwierdzenia.

— Ja! dla ciebie — Boże — w piekło bym poszła.

— To źle, roześmiał się z jej emfazy. — Gdyby mi to powiedziała młoda dziewczyna — nie dziwiłbym się, ale ty — matka dzieciom, kobieta skończona, dojrzała.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Nie, to nie ten człowiek, to jakiś inny Adam. Skąd ma w sobie tyle pewności wobec niej — on taki dawniej potulny, upojny, słodki, grzeczny, nadskakujący, taki miły — co to jest?

— Więc pragniesz dla mnie wszystkiego najlepszego?

— Żebyś wiedział!

— No to dowiesz się, że żenię się z milionami.

— Coś ty powiedział — podbiegła do niego nierzem furja.

Aż odsunął się, tak zionęła wściekłością.

— Pocóż się unosisz? Żenię się. Dlaczego miałbym się nie żenić. Przecież jestem młody, wolny i pieniędzy potrzeba mi.

— Co ty mówisz?

— To, co mówię.

— To prawda?

— Najoczywistsza — zapalił papierosa.

Było mu w tej chwili i żal jej i cieszył się z drugiej strony, że nareszcie uwalnia się z pod opieki, której miał nieraz tak dosyć, tak bardzo dosyć, która mu tak nieraz ciąży, tka paliła wstydem.

Steinowa chwilę stała jak wryta. Zdawało się jej, że Zabięto żartuje sobie, że to jest kłamstwo.

— Ty sobie szydzisz ze mnie!

— Nie!

— To niepodobna!

— Ale dlaczego?

— Jakto? Więc mamy zerwać ze sobą?

— Tak wypada? Czyż nie?

— Ty żartujesz.

— Ależ zupełnie nie żartuję! Rozmówić się miałem zamiar i tylko czekałem na twoje przybycie do mnie.

— I z kim się żenisz — zawołała z wściekłością.

— Powiedziałem ci — z milionami.

— Dla pieniędzy — rzuciła mu szyderczo.

— Nie koniecznie, bo to jest bardzo ładna kobieta.

— Znam ją?

— Ach, moja baronowo, nie dowiesz się więcej. Obrzuciła go stekiem obelg, wyzwisk, nie posiadała ze złości, dyszała, nie mogąc schwytać tchu, słuchał spokojnie.

— Smutna to prawda — przerwał jej potok słów — ale wszystko ma na tym świecić...

Nie chciała nic więcej słyszeć.

— I ja mu cały koncert urządziłam — wybuchnęła z pasją i wybiegła, trzaskając drzwiami.

— Co to jednak znaczy, gdy się zrywa z kobietą, a jakże to jest inaczej, kiedy kobieta zrywa sama, trzeba być wtedy eleganckim, uległym i spokojnie godzić się z losem, który ci piękna pani narzuca — pomyślał artysta, zabierając się do toalety, miał bowiem obiad jeść u swej „Neteczki”.

— Tak, tak co to znaczy, gdy mężczyzna zrywa a kobieta...

XIV.

— No i cóż ty na to mon cher — pytał hrabia Dubiski Malanowskiego podczas obiadu w klubie — cóż ty na to małżeństwo boskiej Neteczki z tym Zabiellą.

— Ano — cóż — chłopak młody, przystojny — ona świetnie zbudowana, niewątpliwie mocno zmysłowa, bogata — czyż nie mogła sobie pozwolić na zdrowy typ męski? Miała może za którego z nas wyjść „wyaranżerowanych” — śmiał się Malanowski.

— Ależ przecież oni są prawie w jednym wieku?

— Co to ma do tego?

— I on goły jak święty turecki.

— Goły, ale zdrow, młody z talentem. Ten jego ostatni koncert — co?

— No tak — prawda. Teraz jej miliony szybko dźwigną go.

— A pewnie. Zauważyłeś jak kwaśno wesołkowate minki mają Dalecka i baronowa? Czy one się w nim czasem nie kochały?

— A może romansowały?

— Mój kochany — dziś jest, gdy chodzi o pewien odłam młodych kobiet, bardzo trudno o erotę. Mówię

o niej, jako o przeżytku — cnota — cnota — to tylko przeszkoda do używania życia!

— A tak mówią.

— I dlatego też tyle jest kobiet wątpliwej moralności.

— Kobiet wątpliwej moralności — śmiał się Dubiski?

I kiedy w klubie komentowano małżeństwo Bolskiej z Zabiellą, młodzi małżonkowie, tonąc w miłosnych pieszczotach wybierali się pod włoskie niebo, gdzieś na Riviérę, a potem na dłuższy czas do Paryża.

Ich nic dziś, nikt nie obchodził. Żyli sobą i dla siebie, bo miłość ta wielka, ogromna, a taką poczyną być tych dwojga, jest więcej, nierównie więcej egoistyczną, aniżeli — miłostka, motyl barwny tak kochany przez — kobiety zwłaszcza wątpliwej moralności.

K O N I E C



77033